Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena 30 gr.

GŁOS

DWUTYGODNIK RADYKALNO-NARODOWY

Nr. 6/7 Poznań, dnia 5 kwietnia 1934 r. Rok IV

„Wszelki lud, a w szczególności polski, jest zawsze najsamodzielniejszą częścią narodu, częścią najnarodowszą, a tem samem najwstrętniejszą wszelkiej obczyźnie. Z drugiej strony łatwo do niego przylega to wszystko, co ma w sobie powinowactwo z jego duchem: każda myśl istotnie narodowa spływa się z jego myślą, jak płomień z płomieniem.“

Seweryn Goszczyński.

IDZIEMY NAPRZÓD!

Naprzód! Ciągle naprzód! Do pracy twórczej, konstrukcyjnej, budującej — oto hasło nasze i hasło szerokich mas młodych. Do tej pracy wyciągamy i prężymy radośnie ramiona.

Ponieważ raz po raz u nóg naszych pętają się jeszcze rzucane perfidne kłody, dlatego tutaj pokrótce zajmiemy się tem, cośmy za sobą pozostawili, jakie jest nasze stanowisko, cośmy zdobyli i do czego zmierzamy.

Pozostawiliśmy za sobą ludzi, dla których atmosfera chaosu jest nieodzownym współczynnikiem wielkości, którzy w warunkach normalnej twórczej pracy są zerami, a wyrastają tylko na bezrybiu, kiedy to „i rak ryba“.

Pozostawiliśmy poza sobą świat czystej negacji i bezdusznego krytykierstwa, gubiący i zaprzedający podstawowe wytyczne myśli narodowej.

Pozostawiliśmy poza sobą to wszystko co było smutnym dokumentem braku wyrobienia politycznego w młodem pokoleniu.

Nasz stosunek do „starej endecji“ był od samego początku jasny i niedwuznaczny, a jednak jakże odmienny od tych wszystkich, którzy także jej się przeciwstawiali. Przedewszystkiem: 1) w walce tej zapominaliśmy o sobie, o swoich ambicjach osobistych, a chodziło nam przedewszystkiem o dobro obozu narodowego jako całości; 2) nie ograniczaliśmy się tylko do czystej negacji, ale staraliśmy się na wszystkich polach nadrobić niedociągnięcia, zarówno na polu twórczości ideowej, jak i na polu organizacyjnem poprzez uporządkowanie i usprawnienie organizacji oraz nowe żywioły kierownicze.

Była to niewątpliwie droga najtrudniejsza, ale naszem zdaniem droga jedyna dla ludzi młodych, droga, która odrazu postawiła nas w walce na wszystkie fronty. „Starzy“ niedowierzali nam, a młodzi ustosunkowali się do nas różnie. Jedni, którym akcja nasza pokrzyżowała „misterne“ rachuby, którym nie w smak był nasz radykalizm, grupa raczej konserwatywna i reakcyjna niż narodowa, niszczyli nas jak mogli, drudzy, którzy pragnęli przedewszystkiem wyzyskać niezadowolenie szerokich rzesz narodowców dla siebie, mas, które wypowiedziały walkę ideowemu niedołęstwu i nieporadności oraz organizacyjnemu chaosowi. Dziś już wypływamy, na co tamci na swój sposób. Dziś *zwyciężył zdrowy, twórczy i konstrukcyjny instynkt szerokich mas narodowych, które bezwzględnie wypowiedziały się za jednolitością obozu narodowego, a zarazem za bezwzględnem parciem naprzód na wszystkich polach*, które wypowiedziały walkę ideowemu niedołęstwu i nieporadności oraz organizacyjnemu chaosowi. Dziś już wypływamy na czyste wody. Miejmy nadzieję, że niezadługo pozbędziemy się tych wszystkich, którzy właściwie już od samego początku swej karjery politycznej powinni byli siedzieć w „Myśli Mocarstwowej“ w „bloku błękitnym“, oraz, że sami zarżną się demagogją ci, którzy *szermować będą oszczerstwami, deklamować o radykaliźmie, który będzie dwuhitlerjanem Mussoliniego, nieprzemyślanem, papuziem klepaniem frazesów.*

Nasz radykalizm jest prostą konsekwencją dorobku ideowego Popławskiego, Dmowskiego, wyrasta organicznie z polskiej rzeczywistości i staje się ruchem najszerszych mas ludności polskiej. *Wracamy do tych podstaw, które rzucił kiedyś historyczny „Głos“* i dalej je rozbudowujemy. „Głos“ wraca do „Głosu”. Jesteśmy narodowymi maksymalistami w odróżnieniu od grup rewizjonistów i minimalistów czy płytkich frazesowiczów.

Usiłowania „Głosu“ były niejednokrotnie źle rozumiane. Jeżeliśmy występowali z głosami krytyki, to ludzie jedno tylko mieli pytanie: rozłam? O to, co było w postawie naszej konstrukcyjnego, nie pytali nigdy. Nie rozumieli, że można walczyć *o pchnięcie naprzód rozbudowy podstaw ideowych, a zarazem o tem większe ujednolicenie obozu, aż do zupełnego zwarcia.*

Dwa wypisaliśmy sobie hasła:

1) NIECH ŻYJE RADYKALNO-NARODOWA POSTAWA WALKI,

2) NIECH ŻYJE JEDEN JEDNOLITY I ZWARTY OBÓZ NARODOWY Z ROMANEM DMOWSKIM NA CZELE — i od nich nie odstąpimy.

M. S.

NARÓD HEROICZNY

Pojęcie heroizmu, bohaterstwa w rozumieniu ogółu oznacza czyn jednostki lub grupy daleko wybiegający poza przeciętne poświęcenie.

Czyn bohaterski kojarzy ze sobą wyobrażenie postawy czynnej, innemi słowy *rodzi się w walce.*

Walka ta może mieć charakter konfliktu, zarówno w wewnętrznych przeżyciach indywiduum, jak i zewnętrznych, może nosić znamiona indywidualne lub zbiorowe — społeczne.

Jeżeli z bohaterstwem w ścisłem związku pozostaje pojęcie poświęcenia, to jest tu niewątpliwa, po przez wartościowanie idąca, kolizja dóbr istniejących z przyszłem, z których jedno musi być, że tak powiemy, użyte i poświęcone, by stało się drugie.



Przytem gdy przy wyborze w gradacji subjektywnej tych dóbr istnieje wahanie, to w ocenie objektywnej wybór na rzecz dobra wyższego rzędu uchodzi za czyn heroiczny.

Aktowi wyboru towarzyszy walka wewnętrzna z potężną siłą egoizmu, wśród której rodzi się decyzja poświęcenia na rzecz dobra większego, wykraczającego poza obręb osobistej korzyści, przeciwnie niosącego ze sobą zawsze ryzyko utraty dobra, mającego dla jednostki przeciętnie wartość najwyższą, o utrzymanie i zachowanie którego walczą nawet wbrew woli naturalne instynkty. Stąd dokonanie czynu z narażeniem np. własnego życia zwyczajnie uważane jest za bohaterstwo.

Wogóle walka o wybór jest przedewszystkiem wysiłkiem woli.

W sytuacji, jaką nakreśliliśmy, ważnem jest stwierdzić, że walka ta odbywa się nie dla jakiegoś widzimisię jednostki, lecz najczęściej narzucana jest przez okoliczności i otoczenie oraz związek uczuciowy z niemi tej jednostki lub grupy.

Zatem obok woli, zmagającej się z naturalnemi instynktami i egoizmem, występuje drugi czynnik, decydujący o staniu się czynu bohaterskiego — *uczucie, postawa emocjonalna wobec dobra wyższego rzędu, która swojem natężeniem pcha wolę do decyzji — czynu.*

Gdy mówimy o czynie heroicznym, to rozumiemy go społecznie, co znaczy, że stać się on może tylko w pewnej zbiorowości, organicznie związanej ze sobą, której dobro wyraźnie góruje nad dobrem jednostki.

Taką zbiorowością dla nas jest oczywiście naród. Wielka miłość narodu pcha właśnie jednostkę i grupy całe do *czynów nadludzkich, bohaterskich.*

Trzeba jednakże zdać sobie sprawę, że nie każda jednostka lub grupa może zdobyć się na heroizm. Zdolni do niego są ci, którzy *głęboko przeżywając rzeczywistość narodową* mają w świadomości dobro całości, *której wartość w hierarchji innych walorów zajmuje miejsce naczelne.* POCZUCIE ODPOWIEDZIALNOŚCI I ZDECYDOWANA WOLA BEZGRANICZNEGO POŚWIĘCENIA DLA NARODU, TO STANY PREDYSTYNUJĄCE POSTAWĘ HEROICZNĄ JEDNOSTEK I GRUP.

Im silniejsze są więzy, wiążące z narodem i im większa jest wiara w jego posłannictwo czy dziejową rolę, tem większe są możliwości heroizmu. Zresztą prawdziwy heroizm narodu rodzi się w atmosferze fanatyzmu idei narodowej.

Przykładem społeczeństwa bohaterskiego indywidualnie i zbiorowo jest Japonja, której synowie w poświęceniu dla niej tworzą żywe torpedy.

I gdy człowiek, kierujący taką torpedą, przeznaczony jest na niechybną śmierć, to właśnie nie gdzieindziej, jak w Japonji na pierwszy apel zgłosiło się tysiąc oficerów, gotowych w każdej chwili objąć ster śmiercionośnych żywych torped.

Fakt ten budzi podziw i poważne refleksje, doprowadzające do wniosku, że ta postawa nawskroś bohaterska oficerów japońskich jest wynikiem nietylko aktualnego wychowania narodowego, ale w dużej mierze także i głęboko tkwiącej w duszy żywej tradycji japońskiego rycerstwa, gotowego zawsze do najwyższych poświęceń. Co najważniejsze, że heroizm narodowy Ja-

(Dokończenie na str 4)

W numerze:

GRYMASY DEKADENTYZMU

Opowiadał mi kiedyś kolega, że w czasie swej tułaczki studenckiej po różnych mieszkaniach raz przypadkiem miał za sąsiadów rodzinę, składającą się z tatusia, mamusi i rozpieszczonego, rozpuszczonego, jak to mówią, synka. Otóż pomiędzy tatusiem a mamusią dochodziło raz po raz do sprzeczek i kłótni. Razu pewnego w czasie ostrej i głośnej wymiany zdań, młoda latorośl wpadła na wspaniały pomysł, zaczęła mianowicie radośnie wyskakiwać po pokoju i podżegać w rytm prymitywnej melodji wyrzucanem słowem: „Kłócą się, kłócą się...“ Afera skończyła się w ten sposób, że pogodzeni rodzice wspólnemi siłami strzepali skórę nieroztropnemu i nierozważnemu śmiałkowi.

Ten mały chłopczyk przypomniał mi się, kiedy ostatnio czytałem pełne dziecięcego zadowolenia z siebie i przekory wynurzenia prasy „sanacyjnej“ o nieporozumieniach w łonie obozu narodowego.

Na wzór więc tego małego chłopczyka szło przez prasę „sanacyjną“ radosne pohukiwanie: „Kłócą się, kłócą się...“ Dość szerokiem echem odbił się w prasie artykuł zamieszczony w 1 nr. naszego pisma p. t. „Opinja najmłodszych narstwień“. Poświęcił mu cały artykuł p. J. Walczak w „Życiu Akademickiem“, nazywając „Głos“ naczelnym organem najmłodszych roczników endeckich, oraz dużo miejsca p. J. Winiewicz w swej korespondencji z Poznania w „Gazecie Polskiej“. Zajęli się więc nim dwaj panowie J. J. W. W.

Udział szerokich mas w życiu politycznem i duchowem naszego narodu jest minimalny. Gdyby było inaczej, gdyby szerokie masy były uczciwie informowane, dostatecznie świadome i czynne, to z pewnością starłyby z powierzchni życia publicznego szeroką sieć rozgałęzionego życia mafijnego, produkującego polityczne plotkarstwo, podchodzenie do wszystkich spraw od strony kuchni, od tego, jakto „jedna baba drugiej babie...“ starłyby wszystkich karzełków, którzy tu odgrywają rolę olbrzymów i oczyściły z niepotrzebnego balastu, chwytającego ludzi w pajęczą sieć, aby ich wyssać, a zostawiły na placu istotne zagadnienia w całej ich jasności i okazałości.

Nie będziemy się więc tu zajmowali tem wszystkiem, co we wspomnianych artykułach „zalatuje“ kuchnią, opiera się na domysłach, takich czy innych fałszywych informacjach, czy wreszcie jest świadomem poszukiwaniem miejsca, gdzieby można wbić klin. Do tego gatunku chwytów zaliczyć trzeba także świeżo upieczony (znowu kuchnia) „mit“ o kombatantach, powtarzany dotychczas przez ludzi mało poważnych w kołach mafijnych (widocznie w tych sferach gdzieś go tam wyprodukowano).

Nie leży w naszym interesie prostować i wyjaśniać naszym przeciwnikom tego wszystkiego, czego nie zrozumieli w naszym artykule. Ci, dla których był przeznaczony zrozumieli go doskonale, a zresztą „mądrej głowie dość na słowie“. Tu podkreślimy inne szczegóły.

Ogromne zaniepokojenie w obozie „sanacyjnym“, wśród wszystkich jego grup, najbardziej oczywiście wśród konserwatystów, wywołały olbrzymie postępy jakie robi obóz narodowy wśród szerokich mas ludności, szczególnie na tym terenie, gdzie dotychczas nie był umocniony, a więc na terenie chłopskim i robotniczym. Próbują to sobie wytłumaczyć możliwie symplificystycznie, próbują zbagatelizować. Oto jak sprawa ta zarysowuje się w głowie korespondenta „Gazety Polskiej“:

„Już przy ostatnich wyborach samorządowych w listopadzie okazało się, że w Poznaniu największy odsetek spadku głosów oddanych na endecję, można było zauważyć w dzielnicach, zamieszkałych przez inteligencję. Stratę głosów inteligenckich odbijało sobie Str. Narodowe w dzielnicach robotniczych. Rozwój ten nie jest przypadkowy. W ostatnich latach żeruje endecja na bezrobociu, wyławia malkontentów z masy głodnych i zredukowanych pracowników, szermuje radykalnemi hasłami, które nawet endecką młodzież akademicką skłoniły na Uniwersytecie poznańskim do wywieszenia hasła — „My proletarjusze“.

Oto „wystarczające“ wytłumaczenie zjawiska, które oczywiście trafić może do przekonania tylko zmaterjalizowanemu inteligentowi t. zw. „burżujowi“, który poza żołądkiem nie widzi argumentów. Nie rozumie on, czy zrozumieć nie chce, że garnięcie się szerokich mas pod sztandary ruchu narodowego ma swoje głębokie podstawy w jego założeniach ideowych, że polski ruch narodowy dziś jak ów mityczny Anteusz dotknął stopą swoją ziemi, terenu, na którym wyrósł i, na którym tylko może żyć. Przypatrzcie się od czego zaczynały się wszystkie ruchy narodowe i odrodzeńcze: od głębokiego wnikania w duszę ludu, od badań nad jego przeszłością, językiem, oryginalnością, nad tą skarbnicą podań i poezji, w której on przechowywał swoją odrębność i podstawy narodowej kultury. Zawsze walka o wolność i niepodległość narodu była walką o wolność i wydźwignięcie na wyższy szczebel kultury duchowej i materjalnej najszerszych mas ludności.

Tak samo jest i dzisiaj. Czyż bowiem kłamali ci, którzy napisali o sobie „My proletarjusze“? Czyż nie mogą nazywać się proletarjuszami szerokie rzesze narodowej inteligencji polskiej wydziedziczonej i napiętnowanej i czyż nie muszą one czuć sie nietylko ideowo, ale materjalnie wielką jednością z temi wielkiemi masami wydziedziczonych i walczących o prawo udziału we wielkiej polskiej wspólnocie narodowej? Sprawa więc nie jest tak prosta, ani też nie jest tylko demagogicznym chwytem. Rozumiemy, że to może pewnych ludzi mocno boleć, ale my im już na to nic nie poradzimy.

A teraz druga sprawa. Korespondent „G. P.“ pisze:

„Mam wrażenie, że zanik wpływów endeckich wśród inteligencji wielkopolskiej odbije się niezmiernie korzystnie na fizjognomji kulturalnej naszej dzielnicy. Wpływy endeckie oddziaływały na umysły wielkopolskie niewątpliwem zacieśnieniem pojęć.“

I tej sprawie trzeba się bliżej przypatrzeć. Kultura nasza czasów ostatnich, aż do nadającej ton dzisiaj grupy jej epigonów jest kulturą inteligencji mieszczańskiej t. zw. burżuazji. Wybitną jej cechą jest międzynarodowość, zżydziałość, senzualizm i materjalizm. Stanowi ona świat w pewnym sensie jednolity i zamknięty, grawitujący dziś ku międzynarodówce komunistycznej; kto zaś raz wpadnie w jej obręb, temu trudno się z niej wydostać, wydostać z jej swoistego sposobu odczuwania. Narodowa demokracja była w pewnej mierze stronnictwem mieszczańskiem i grupowała w sobie ludzi, którzy rozumem przedewszystkiem buntowali się przeciwko temu wszystkiemu, cośmy powyżej w krótkich słowach scharakteryzowali. Buntowali, ale tylko rozumem, uczuciowo bowiem, narowami, sposobem odczuwania i oni tam niejednokrotnie tkwili. Ta dwoistość oczywiście musiała się mścić. I wytwarzać z jednej strony zastój, z drugiej zaś brak atrakcyjności, mieszczańska zaś konsekwentny, aż do ostatnich granic żydowski pająk łowił w swą sieć wszystko co się dało. Z tego punktu widzenia możnaby znaleźć wytłumaczenie dla tego „zacieśnienia“ czy raczej wytwarzającego sie w duszach zatoru. To też gdzieindziej należy szukać prawdziwych zrębów narodowej kultury i jej przedstawicieli. Jeden jest człowiek, który w tym kierunku wykonał olbrzymi wysiłek całego żywota, który obok organizatorów myśli narodowej jak Dmowski i Popławski zorganizował wyobraźnię narodową, który jak gdzieś powiedziano najwięcej przeszłości wziął w siebie i największy cień rzucił w przyszłość, a tem samem najpotężniejszy cios zadał światu, schodzącemu dziś wśród niepoczytalnych grymasów do grobu, a jest nim chłop z nad Gopła, z ziemi piastowej, Jan Kasprowicz. Tą bramą, którą on wyrąbał wystrzeli narodowa kultura, wyrastająca z „prasłów“ duszy narodowej, którą on właśnie odsłonił w całej jej krasie.

Jakże więc w świetle tak szeroko pojętej kultury narodowej i ludowej wyglądają zabiegi napuszonych i przekonanych o szerokości swych myślowych horyzontów mieszczańskich talencików.

Jakże wygląda w korespondencji „G. P.“ oburzenie na nadanie pierwszej nagrody literackiej miasta Poznania, Romanowi Dmowskiemu, oburzenie, które w swoim czasie, nie kto inny, ale dzisiejszy główny apologeta „sanacji“ z „Pionu“, E. Skiwski, nazwał snobizmem.

Jakże wreszcie wygląda taki ustęp w korespondencji:

„Dzisiaj nawet dyrekcje dwóch teatrów poznańskich, opery i Teatru Polskiego, uzależnionych od zarządu miasta pobieranemi subwencjami zmieniają oblicze. Dawniej w teatrach tych doprosić się nie było można zezwolenia na wzniesienie np. ze sceny teatru po przemówieniu w dniu 19 marca czy 11 listopada okrzyku „Niech żyje Marszałek Piłsudski“, dziś dyrektorzy tych teatrów radziby odszukać w swych papierach dowody, że służyli w... legjonach.“

Tempora mutantur.

Oto rozszerzenie pojęć. Oto kultura przyszłości. Teraz przynajmniej wiemy dlaczego teatry poznańskie biją rekordy niskiego poziomu...? — Dyrektorzy szukają dokumentów.

„Nie albowiem niemasz łatwieyszego u Żydów, iak w ustach kłamstwo, chytrość w mowie, trucizna w podchlebianiu, uprzedzenie w prędkości, przekupienie w obdarzeniu. Temi sztukami zdradliwy Narod zarażony, zdania nawet y naylepszych Sędziow, z dobrego rozumienia pomiesza, y wybiie, przywileie nawet y ubespieczenia, przeciwko chwalebnym pospolitości ludu dobrze się rządzącego, zwyczaiom obrusza, y obraca, a prawie co dzień pomnaża. O przeklęta naszych tych czasow nieszczęśliwości, y nędzo! w inszych Krolestwach y Państwach, z których ten smrodliwy stek ludu iest wyrzucony, wszystkich rzeczy znayduie się obfitość, pokoy, y bezpieczeństwo. W tych zaś, w ktorych ten Narod głęboko iest wkorzeniony, Swięta Katolicka, y Apostolska Religia, często naruszona bywa, skrytości nawet rzeczy, przez ktore Dobro pospolite częstokroć utrzymane zostaie, przed nieprzyiaciołami, y sąsiedzkiemi kraiami, zdradą wyiawione, y odkryte bywaią. Obywatele y Kupcy, przez ich zdrady gubią się, y niszczą. Samokupstwa do wprowadzenia wszystkich towarów drogości nie bez oszukania przez nich wniesione zostaią, cena pieniędzy przez tych pomnieysza się. Zgoła wszelkiego gatunku towary pod pozorem dobroci, z znaczną bardzo ludu szkodą rozchodzą się, y rozprzedaią.“

(W. Xiądz Tomasz Treterus, Kustosz Poznański, Kanonik Warmiński, przed lat dwoma sty żyiący, stylem Łacińskim opisał. Urodzony Kazimierz Miezwiedzki, Burgrabia Ziemski Poznański, dla publicznego Oboiey Płci używania, na Oyczysty Język Polski, słowo w słowo pilnie przełożył. Wydrukować kazał w Akademii Poznańskiej: Chrystusowego 1772 Roku.)

Kto robi rewolucje?

P. Boy-Żeleński, członek Polskiej Ak. Lit. pisze we „Wiadomościach Literackich“:

Tak, mam wrażenie (każdemu wolno mieć wrażenie), że sfery rządzące naogół sympatyzują z akcją ograniczania urodzeń, ale nie chcą jej tykać. Jeszcze przed kilku laty miałem sposobność rozmawiać na ten temat z pewną wysoką osobistością. Usłyszałem mniejwięcej co następuje: „W naszych warunkach, taka akcja jest poniekąd rewolucją. Otóż, robić rewolucję, to jest rzecz społeczeństwa, a nie rządu.“ (Podkreślenie nasze.).

Ciekawe i to z różnych względów! Prawda?

Drogim Przyjaciołom i Czytelnikom gorące życzenia pogodnych i radosnych Świąt Wielkiejnocy składa

Redakcja.

KULTURA POLSKA

WOBEC CHAOSU ŚWIATOWEGO

Staraniem Koła Polonistów U. P. wygłosił odczyt pod powyższym tytułem Prof. Dr. Bogdan Suchodolski, znakomity autor znanych powszechnie prac o Goszczyńskim i Brzozowskim oraz świetnych „wypisów“ p. t.: „Ideały kultury a prądy społeczne“. Poniżej podajemy zasadniczy tok myśli prelegenta, nie ręcząc oczywiście za ich wierność oraz przy końcu nasze drobne zastrzeżenia.

Kulturę ujmować można w dwojaki sposób: albo jako twór sił przyrody, albo też jako dzieło ludzkie. W pierwszym wypadku kultura będzie naturalną formą ludzkiego życia i los jej nie od nas będzie zależał, w drugim zaś będzie ona dziełem i wartością czysto ludzką.

Dziś wiara w opatrznościowe i mądre rządy przyrody uległa zachwianiu, człowiek rozumie cudotwórczą wartość swej woli, zmierzającej nawet do poprawiania rasy ludzkiej. Rozumie on dalej, że może być działalność ludzka dla kultury twórcza i niszczycielska, wzbogacająca ją i przeciwstawiająca się jej.

Należy się więc z punktu widzenia humanistycznego zastanowić nad postulatami kultury nowoczesnej, nad podstawami jej rozwoju i nad zasadniczemi jej wytycznemi.

1) Kultura jest to umiar w działaniu. Kultura jest tylko wtenczas w pochodzie naprzód, jeżeli wszystkie dziedziny życia, jakie obejmuje rozwijają się harmonijnie, jeżeli jedna z nich nie rozwija się kosztem drugiej i nie wchodzi w jej kompetencje, jeżeli nie ulega hipertrofji. Nauka np. staje się scientyzmem, gdy sięga po uprawnienia, które do niej nie należą, estetyzm zaś niszczy etykę.

Czasy ostatnie przyniosły nam hipertrofję dziedziny gospodarczej. W związku z tem rozwinęła się: a) idea pracy do rozmiarów niebywałych w naszej epoce techniki i kapitalizmu. Starano się udowodnić, że prawda zależy od pracy. Praca jednak nie jest jedyną wartością, istnieje bowiem poza nią cały świat ludzkich uczuć, wrażeń i wyobrażeń. Drugą konsekwencją tego stanu rzeczy jest b) deprawacja potrzeb. Produkuje się bowiem na wyrost, na zapas. Prawo produkcji przestaje być zgodne z życiem, a i duszę ludzką traktuje się jako wielki rynek zbytu, w który można wepchnąć wszystko, dobro i zło. Człowiek staje się niewolnikiem rynku świata, tak że następuje komercjalizacja kultury t. zn. traktowanie jej w kryterjach gospodarczych, produktywizmu gospodarczego. A więc nie o wartość chodzi, ale o zysk. Z tem łączy się kult dobrobytu, wiara, że szczęście polega przedewszystkiem na materjalnem bogactwie.

Przeciwko temu wszystkiemu budzą się dziś siły przeciwne, zmierzające do zrobienia z wytwórczości twórczej siły społecznej, i do sprawiedliwego podziału dóbr, opierające się raczej na średniowiecznej zasadzie słusznej produkcji, aby celem człowieka przestał być zysk, a stała się nim wartość, znaczenie np. ubóstwa dla rozwoju duchowego człowieka podkreślana tak silnie przez James'a.

Dla kultury polskiej wejście na drogę wartości gospodarczej jest rzeczą daleko łatwiejszą niż dla którejkolwiek innej. My zawsze ujmowaliśmy życie gospodarcze, jako — gospodarstwo na usługach człowieka, t. zn. że powinno być ono normowane potrzebami ludzkiemi. Cywilizacja bowiem prawdziwa — to umiejętność opanowania sił przyrody dla rozwoju duchowego. Dziedzina więc życia gospodarczego nie jest samowładną dziedziną, ale jest normowaną całokształtem życia.

2) Kultura to harmonja tworzenia i kształcenia. Istnieje kultura objektywna t. zn. dzieła sztuki, architektura itd. to wszystko co jest poza nami i kultura subjektywna — gotowość słuchania, podziwu, umiejętność wartościowania, to co jest w nas. Między kulturą subjektywną a objektywną musi panować harmonja. Dziś obserwujemy produktywizm kulturalny oparty na łatwości technicznej, na stosowaniu prowokacyjnych metod techniki w stosunku do ducha. Zapotrzebowanie podnieca działalność. Im więcej jest wytworów kulturalnych, tem więcej jest pokus do stwarzania nowych dzieł kultury. Nadmiar dzieł kulturalnych jest niebezpieczeństwem dla rozwoju człowieka dlatego, że trudno uczynić wybór. Powierzchowna zaś idea konsumpcji duchowej — jak najszybciej i jak najpowierzchowniej — zabija wartości kulturalne, zabija idee kształcenia, a to zkolei powoduje deprawację twórczości, twórcy bowiem produkują na zbyt aktualny, a nie chodzi im o stworzenie dzieła o wiecznej wartości.

W ten sposób została zniweczona harmonja między ideą tworzenia a ideą kształcenia. Idea kształcenia odradza twórczość. Niewolnictwo w pracy mści się na charakterze twórczości. Trzeba mieć czas na kształcenie. Wiara w potrzebę skupienia się i rozwoju wewnętrznego odradza źródła, z których płynie idea tworzenia. Prawda, wymagająca wysiłku i pracy jest jedną z najgłębszych wartości idei kształcenia, wywołuje bowiem przeświadczenie o konieczności wzniesienia się ponad poziom produkcji i konsumpcji.

U nas niema nadmiernego produktywizmu kulturalnego. Nie przeżywamy wielkomiejskiej degeneracji kultury. Zaniedbanie kształcenia jest jednak bardzo wielkie. Musimy jednak pamiętać, że sprawy kultury nie są tylko sprawą oświaty,

NARÓD ZORGANIZOWANY

Artykuł dyskusyjny

W artykule poprzednim*) omówiłem kwestję rozróżnienia polityki gospodarczej narodu i państwa. W konkluzji stwierdziłem, że rozróżnienie to jest natury formalnej, bo zasadniczo i naród i państwo jako jego organ mogą stosować tylko *narodową politykę gospodarczą*.

Państwo współczesne jednak tego postulatu nie spełnia. Złożyło się na to wiele momentów i przyczyn. Wielką rolę grało tu opanowanie życia kulturalnego, gospodarczego i rządów przez sfery żydostwa asymilowanego, nieasymilowanego i masonerji z nimi związanej. Usunięcie jednak tych dotychczas rządzących sfer nie uratowałoby na dłuższą metę naszej polityki państwowej. Nawet nasza polityka narodowa mogłaby łatwo stać się narzędziem wpływów obcych, przejawiających się w postaci np. różnych idei dogodnych naszym wrogom, a krępującym nam kierowanie się interesem narodowym. To też musimy się zająć obok walki o *Polskę dla Polaków*, również rozważaniami nad tworzeniem się naszej woli zbiorowej, nad takiem jej zorganizowaniem, by była wyrazem nie tylko prądów, które w tej chwili nurtują, lecz by była zdolną wyznaczyć sobie *cele, zadania i metody działania narodowego*. Chodzi nam o to, by w polityce oprzeć się na prądach narodowych, czysto polskich. Polityka narodowa nie może być polityką „pour le roi Prusse".

Zagadnienie rozbija się na dwa zasadnicze pytania: 1) *jaki jest cel działalności narodu*; 2) *jaką powinna być forma wyrażania woli narodu*, by, mimo tkwiących w tej chwili w narodzie wskutek długiej niewoli i propagandy obcych pierwiastków i składników, narodowa polityka świadomem działaniem oczyściła kulturę narodową z chwastów ją tłumiących i rozkładających.

Na pytanie pierwsze wstrzymam się w tym artykule od odpowiedzi. Pytanie drugie niech będzie przedmiotem mych rozważań i badań. Z góry jednak musimy powiedzieć, że ścisła i dokładna odpowiedź będzie trudna i zależna od stanu badań nauk społecznych. Nie chcę tu dawać idealnej recepty, lecz zamierzam przedstawić jak się to zagadnienie przedstawia w oczach człowieka, który zasadniczo zajmuje się zagadnieniami gospodarczymi i, ze swego małego podwórka patrząc, chciałby widzieć w świecie konsekwencję, system, chciałby świat przy pomocy woli, uczuć i rozumu zrobić lepszym, bliższym „civitas Dei" św. Augustyna.

Czasy obecne cechuje oddanie formowania woli narodu — państwu. Jest to wynik koncepcji demokratycznej (w znaczeniu masońskiem) społeczeństwa i państwa. Demokratyzm taki wyraża się w tem, że rządzący dobierają się zasadniczo na mocy przypadku, wskutek przypadkowego zbiegu okoliczności, które danemu kandydatowi, lub liście dawały przynajmniej połowę plus jeden głosów jakiejś grupy terytorjalnej. Taki reprezentant większości (zazwyczaj względnej) nie czuje się związany z ogółem głosujących, lecz tylko z własnymi wyborcami. Przedstawia on zatem tylko interes grupy wyborców, którzy go wybrali. Nadto demokratyzm przez uobywatelnienie grup pozanarodowych, poprzez system reprezentacji tych tylko, którzy na danego reprezentanta głosowali, wprowadził do ustroju państwowego grupy pozanarodowe, a często wprost obconarodowe. Ponieważ państwo przyjęło funkcje formowania woli narodu, o narodzie decydowali ci, którzy z narodem nie mieli nic wspólnego, a często byli nawet do narodu usposobieni wrogo. To był grzech pierworodny ustroju demokratycznego z pięcioprzymiotnikowymi wyborami i rządem parlamentarnym.

Lecz rozwój poszedł jeszcze dalej. Państwu i tylko państwu powierzono troskę o myślenie w imieniu narodu, o wybór zadań i środków i ich realizację. A państwo to, na podstawie uprzednio omówionej koncepcji, było tylko przedstawicielem *przypadkowego układu sił w parlamencie, o niezwykle dużym wpływie grup pozanarodowych i obconarodowych*. Partje drobne, jeśli tylko odgrywały rolę języczka u wagi, jeśli od ich poparcia zależało sformowanie większości, drogą targu uzyskiwały wpływ niewspółmierny ani z interesami, jakie reprezentowały, ani z ich udziałem w tworzeniu woli zbiorowej narodu. To był drugi grzech ustroju demokratycznego. Stan zaś taki starano się uzasadnić pojęciem legalizmu. Pojęcie legalizmu jest nam bardzo drogie, nam, których kultura opiera się i nawiązuje do kultury rzymskiej, niemniej pojęcia tego nadużyto. Usiłowano bowiem wysnuć zeń wniosek, że państwo ma dbać nietylko o danie czystego wyrazu woli narodu, lecz także, że poza państwem nie może uzewnętrznić się wola narodu, bo poza państwem istnieją tylko partje, reprezentantki grup narodu.

Nawet partje nacjonalistyczne, pretendujące do przedstawiania całego narodu i jego interesów, na tę degradację godziły się i uważały parlament za wyraz *myśli i woli narodu*. Lecz przecież można być zwolennikiem legalnego załatwiania spraw, i można twierdzić, że naród może swą wolę wyrażać nawet poza państwem. Stąd też płynie niezrozumienie ludzi doby obecnej dla *pojęcia narodu zorganizowanego*; narodu, który wolę swą wyraża ustami i czynem tego, co, używając przyjętej nomenklatury, zwie się partją polityczną. Widzimy to na przykładzie partji faszystowskiej i hitlerowskiej. Wynika stąd, że państwo demokratyczne (w znaczeniu, jakie dla demokratyzmu nadawał wiek 19) nie dało odpowiedniej formy do dania wyrazu woli narodu. Co więcej, przywłaszczyło ono sobie prawo myślenia i działania za naród. Samo zaś państwo uległo wpływom obcym, nienarodowym. Stało się ono więc idealnem narzędziem dla tych, którzy chcieli użyć państwa dla celów swych, lecz nie mieli odwagi wziąć za to odpowiedzialności. *Rządziły więc tajne związki, a mówiono, że to naród daje swój wyraz i treść państwu.*

Machina państwowa choć kulała i często obcym służyła celom, jednak przez perjodyczne wybory, choć zgrubsza wolę narodu niekiedy okazywała. Gdy jednak po wojnie przewartościowanie wartości kulturalnych i etycznych zachwiało i postulatem „czystości wyborów", nastąpiły takie fałszowania woli narodu, że o woli narodu można mówić, jako o przeciwieństwie ustaw i rozporządzeń państwa. „Cud nad urną" dyskwalifikuje państwowe organy wyrażania myśli i woli narodu.

Musi więc naród zpowrotem objąć tę ważną funkcję. Potrzebną jest organizacja całego narodu. Ponieważ jednak wielu Polaków już tylko z imienia jest Polakami, serce polskie w nich już zamarło — a właściwie są to już tylko po polsku mówiący Żydzi, Rosjanie, Niemcy lub kosmopolici, więc organizacja narodu nie może ich już objąć, bo brak im odczucia dla spraw narodowych. Stąd to płynie postulat organizacji *świadomych* sił narodu. Organizacja ta dopiero podejmie się trudu wychowania ducha polskiego i w tych, co go zatracili.

Sama organizacja świadomych Polaków nie wystarczy do realizacji celów narodowych. Jest w niej potrzebna grupa, którąby myślała nad zadaniami narodu i środkami do ich realizacji. Stąd to ta grupa musiałaby przedstawiać wiedzę fachową w zakresie nauk społecznych i rozporządzać odpowiednią doktryną etyczną. *Kadry* grupy tej winny wykształcić nasze uniwersytety. Ponieważ jednak uniwersytety nasze nie są w całem tego słowa znaczeniu uniwersytetami narodowymi, konieczną jest rzeczą, by grupa ta od formalnej organizacji nauki i wiedzy polskiej była niezależną. Nazywam taką grupę „*grupą narodowego myślenia*".

Obok tej grupy konieczną będzie grupa, która będzie wybierać cele, środki i metody działania narodowego, a którą nazwałbym „*grupą narodowego wyboru*". Współczesny ustrój Niemiec wykazuje ciekawą anomalję. Wybór narodowy celów i środków działania przesunął się z organizacji państwowej *we wnętrze organizacji partji hitlerowskiej*. Mimo to dla celów międzynarodowych utrzymano formę parlamentu. Lecz jest to już tylko *forma bez treści*. Wstaje on i siada karnie, głosując w ten sposób nad wnioskami, które uprzednio narodowa forma wyboru ustaliła. Jeśli chodzi o stosunek grupy narodowego myślenia do grupy narodowego wyboru, to byłyby to 2 koła, zazębiające się, z tem, że ta ostatnia będzie o wiele szerszą, bo będzie reprezentantem całego narodu, wszystkich jego warstw. Nie boimy się wprowadzać ludzi dość fachowo nieprzygotowanych, nie posiadających dyplomów i innych dokumentów przesiedzenia pól życia w ławie szkolnej. Cechą wyznaczającą ich powinno być *maksymalne natężenie świadomości narodowej*, któreby im pozwoliło zapomnieć o interesie jednostkowym, gdy chodzi o interes ogółu. Obok niej nadto będzie istniało sumienie narodowe w formie grupy narodowego myślenia.

Podnosi się niekiedy zarzut, że, wprowadzając w grupę wyboru ludzi o największej świadomości narodowej, łatwo możemy stać się wyrazem woli jednej klasy, t. zw. dołów społecznych, które chcemy unarodowić w sensie spotęgowanego poczucia przynależności narodowej, a które są najbardziej dynamiczne, objawiając największą ekspansję. My się tego nie boimy.

Niewątpliwie „DÓŁ" SPOŁECZEŃSTWA UZYSKAĆ MUSI WIĘKSZE PRAWA, NIŻ TO MIAŁ W SPOŁECZEŃSTWACH T. ZW. DEMOKRATYCZNYCH. Lecz czynimy to na to, by mogły one spełnić swe obowiązki wobec narodu. Uważamy GO NATOMIAST ZA WARTOŚCIOWSZY MATERJAŁ DO ODBUDOWY NARODU OD WIĘKSZOŚCI INTELIGENCJI, ZBYT ZMATERJALIZOWANEJ, BY NA NIEJ MOŻNA OPRZEĆ STRUKTURĘ NARODU. SIĘGAMY DO PODSTAW NARODU, DO JEGO KORZENI, BO GÓRĘ ZŻARŁ MATERJALIZM I RAK OBCYCH KULTUR.

Działać natomiast będzie cały naród świadomy. Każdy na swoim stanowisku spełniać będzie swój obowiązek. Tam, gdzie działa większa ilość ludzi potrzebny jest podział pracy, a zwłaszcza potrzebni są ci, którzy będą regulować tempo pracy, będą tą pracą kierować; słowem będą spełniać funkcje kierownika. *Potrzebna jest hierarchja i ludzie na czele hierarchji rządzący*; wydający rozkazy, realizujący cele, zadania i środki, wybrane przez *grupę narodowego wyboru*.

A ta grupa kierownicza rekrutować się będzie z jednostek najbardziej świadomych narodowo; z wszystkich warstw narodu polskiego. Cechować ją natomiast powinna zdolność rządzenia, zdolność organizacyjna; bo oni dopiero zorganizują realizację celów narodu. Jeśli chodzi o rekrutację stanu jej, to w tej chwili więcej powiedzieć się o niej nie da. Prawdopodobnie i ona obejmie część jednostek z grupy narodowego wyboru.

Ta ostatnia hierarchja rządząca będzie musiała się podjąć realizacji celów narodowych, a więc i celów narodowej polityki gospodarczej. Cele i metody działania gospodarczego przemyśli grupa narodowego myślenia, a wybierze grupa narodowego wyboru. Tu możnaby też zapytać się, jakie kryterjum będzie przyjęte za podstawę do rozróżnienia, co jest z punktu widzenia narodu pożądane, lub co jest szkodliwe, jak rozpoznajemy interes narodowy. Gdyby odpowiedzi na to pytanie nie dało się uzyskać, nie byłoby poco budować taką wielką machinę, jaką niewątpliwie jest naród świadomy, zorganizowany. Tem zasadniczem pytaniem dla każdego polityka, a więc i dla polityka gospodarczego, spróbuję się zająć. Zgóry jednak zdaję sobie sprawę, iż kompetencja moja będzie ze względu na duże oddalenie się od spraw czysto gospodarczych mocno zmniejszona; to też pod wpływem dyskusji twierdzenia me mogą ulec daleko idącym zmianom.

Ri.

*) „O właściwą państwową politykę gospodarczą", „Głos", nr. 4 z 1933 r.

---

wiedzy. Stosunek do Boga, do przyrody, do tradycji dziejowej, do sztuki, do siebie samego — to wszystko rozliczne i bogate działy kultury. Sięgnąć trzeba poza szkołę i samokształcenie.

3) *Zasadniczym postulatem kultury jest pojęcie kultury jako idei współżycia.* Stosunki międzyludzkie wykazują dziś niebywałe napięcie różnic. Różnice te dziś mocno się podkreśla, podnosząc np. różnice rasowe, najtrudniejsze do przezwyciężenia. Dalej uderza dziś niebywały kult organizacji i instytucjonalizacji życia zbiorowego. Przesadna wiara w wartość organizacji i wartość instytucji — sprowadza bierność poszczególnych jednostek i niszczy poczucie odpowiedzialności za współudział w tworzeniu kultury, podzielność bowiem odpowiedzialności czyni za stwarzaną rzeczywistość odpowiedzialnym nie człowieka lecz organizację.

Jednostkę pojmuje się albo jako bierny materjał, albo też jako czynnik zupełnie niezależny, wchodzący z innymi w kontrakt na podstawie utylitarnej. Tymczasem oparcie się na interesie jest najbardziej nietrwałe. To też idą usiłowania odnalezienia głębszych podstaw zespolenia jednostek nie na podstawie interesu, lecz na podstawie bezinteresowności, idei, do znalezienia podstaw ponadutilitarnego stosunku do życia społecznego. Na płaszczyźnie interesu możliwe są tylko stosunki handlowe, na płaszczyźnie idei (religja, naród) odnajduje się najgłębsze i najtrwalsze zespolenia.

Idea wartości ogólnoludzkich nie jest popularna, ale jest najważniejsza i najwyższa. Chaos bowiem światowy powstaje w napięciu różnic między jednostkami i grupami.

Moralność jest podstawą polityki. Życie społeczne należy traktować nie jako kontrakt i nie jako przymus, ale jako zespolenie dla wielkiej idei. I tu otwiera się najważniejsze zadanie dla kultury polskiej.

4) *Najgłębszą cechą kultury jest wiara w istnienie wartości.* Życie ludzkie nie jest samo przez się wartością. Życie ludzkie musi być podnoszone do pewnych wartości (religijnych, naukowych, społecznych). Wiara w wartości kulturalne rozwija się ponad przyrodniczym poziomem. Każda wielka kultura jest metafizycznym ryzykiem.

Wiara w technokrację jest dziś najbardziej powszechna. Technika to wzór i miernik każdej twórczości. Technika żyje życiem postępu. Tu bowiem tylko rzeczy nowe mają wartość; co nowsze to lepsze. Dzieła sztuki zaś np. są wieczne. Nie wszystkiemi więc dziedzinami rządzi prawo postępu. Technika zaś przyzwyczaja do utylitarnej powierzchowności. Technika daje złudę panowania nad chaosem. Istotnym bowiem problemem jest nie to, jak ludzie mają opanowywać siły przyrody, lecz siły wewnętrzne i społeczne, aby tworzyć świat sprawiedliwy. Konstruktywizm techniki przechodzi zaś do kultury. Miarą użyteczności jest jej sprawność, a tymczasem życie społeczne nie jest zbiorem elementów takich jak w maszynie. Życiem społecznem rządzą inne wyznaczniki, rządzi niem przedewszystkiem — prawo miłości. Świat zaś dzisiejszy skierowany jest raczej w kierunku władania, panowania, a nie w kierunku miłości.

Panoszący się relatywizm rozbija dawną wiarę w istnienie kultury, rozbija stosunek człowieka do świata, rozbija związek człowieka ze społeczeństwem. Kultura europejska przeżywa głęboki niepokój odpowiedzialności. Jaka jest rzeczywistość? Rodzi się postawa zwątpienia, a w ślad za tem, użycia — skorzystania ze sposobności.

Przeciwko tym nastawieniom występuje idea wartości niezmiennej, wiecznej, a z nią razem walka z samym sobą, ascetyzm wewnętrzny, pojęcie życia jako zadania, a nie jako przedmiotu urządzenia i zysku. Wielka kultura to patos twórczy, oderwanie się do poziomości, ryzyko, wola tworzenia wartości.

Szlak, po którym kroczyć winna kultura polska wyznaczają te cztery postulaty pojmowania jej jako umiaru działania, jako harmonji tworzenia i kształcenia, jako tworzenia wartości i jako współżycia. A na szlaku tym cztery świecą jak pochodnie nazwiska: Abramowski, Mickiewicz, Wyspiański i Żeromski.

. . . .

Świetnie skonstruowany odczyt zawierał cały szereg cennych i niezmiernie ciekawych spostrzeżeń i szczegółów. Obok tego możnaby zwrócić uwagę na *pewne pozorne czy rzeczywiste niekonsekwencje*. I tak prelegent uważa, że kultura wówczas rozwija się prawidłowo, kiedy wszystkie dziedziny życia rozwijają się harmonijnie. Jak pogodzić z tem apoteozę ubóstwa, które jest programowem zaniedbywaniem jednej z tych dziedzin, mianowicie życia gospodarczego. Albo jak pogodzić ów zmysł ryzyka z poczuciem umiaru w działaniu; czy gdzie znaleźć dla niego normy. Prelegentowi chodziło o ujęcie wszystkich zagadnień w pewną harmonijną całość i zsyntetyzowanie postaw człowieka Zachodu i Wschodu. Aby tego dokonać musiał przyjąć wobec zagadnień taki dystans, z którego wszystkie ostre kontury sprzeczności powlokłyby się błękitną mgiełką oddalenia. Pomimo to nie wszystkie uległy zatarciu.

Postawa jaką zajął prelegent wobec kultury jest charakterystyczną dla pewnych grup liberalnej inteligencji, a w literaturze naszej znalazła wspaniały wyraz w Arturze Górskim. Do postawy tej odnosić się należy z największą czcią, w praktyce jednakże może ona człowieka raczej unieruchomić i dlatego tak mało znajduje oddźwięku i wyznawców.

Ufortyfikować zachodnią granicę!

Redakcja umieszcza powyższe rozważania, jako artykuł dyskusyjny, prosząc Szanownych Czytelników, Przyjaciół i Współpracowników naszego pisma o łaskawe wypowiedzenie się.

Genjusz polityczny Dmowskiego w oparciu o wytężoną pracę stronnictwa narodowo-demokratycznego i wytworzonego przezeń Komitetu Narodowego w Paryżu doprowadził do uzyskania dzisiejszych zachodnich granic naszego państwa. Nie cała wprawdzie ludność polska znalazła się w swojem państwie. Sporo jej jeszcze pozostało poza polskiemi słupami granicznemi. To jednak cośmy zdołali z gardzieli niemieckiej wydrzeć przedstawia nieocenione i trzeba powiedzieć niedoceniane wartości społeczno-polityczne dla naszej młodej i tak atakowanej państwowości. Ziemie zachodnie stanowią wzór dla całej Polski w dziedzinie narodowej, społecznej i gospodarczej. Są one ostoją ładu społecznego, promieniują patrjotyzmem, kulturą i porządkiem.

Są one jednakże narażone ciągle i ustawicznie na groźny najazd niemiecki. Dopóki jeszcze Niemcy były terenem walki polityczno-społecznej za czasów republiki weimarskiej, można sobie było ich sąsiedztwo lekceważyć. Ich agitacja rewizjonistyczna była w zasadzie czczym frazesem, obliczonym raczej na potrzeby polityki wewnętrznej. Dziś, kiedy w Niemczech narodowych i zjednoczonych znikła potrzeba gonienia za tanim frazesem, propaganda rewizjonistyczna ucichła zupełnie. Nie dlatego ona jednak znikła, że zamarła wola podboju Polski. Jest wprost przeciwnie. Dziś Niemcy wojnę z Polską przygotowują czynnie a nie krzykiem. Przygotowują potężną reorganizację swego polityczno-społecznego i moralnego pogotowia. Zbroją się, ćwiczą szeregi swoich organizacyj, powiększają wojsko.

Coraz bardziej zbliża się dzień, kiedy Niemcy będą znowu gotowi do nowego pochodu na polskie ziemie. Operacje przyszłej wojny niemiecko-polskiej będą się odbywać na naszych ziemiach zachodnich. One to będą najbardziej narażone na skutki wojny. A któż z nas nie pamięta, nie widział jeszcze naocznie, jak wygląda kraj wojną zniszczony. Trzeba zawczasu pomyśleć o tem, żeby zniszczenia te ograniczyć do minimum. Przyszła wojna nie może się odbywać na polskiej ziemi.

Uzyskać to można jedynie przez ufortyfikowanie naszej zachodniej granicy. Umocnienia granicy razem z obozem warownym w powiecie morskim, połączone z ofensywnem nastawieniem naszej armji musi być kardynalnym postulatem przyszłej obrony naszej granicy.

Nie jestem wojskowym, nie znam się przeto na techniczno-wojskowej stronie zagadnienia. Wiem tylko, że bardziej przygotowane do wojny państwa zachodnie, jak Francja i Belgja zdecydowały się na wybudowanie potężnych umocnień granicznych. Przemówiło przez te decyzje głębokie i bolesne doświadczenie ostatniej wojny. Nasi wojskowi tak służby czynnej jak też rezerwy powinni oddziałać na naród i państwo, aby zdobyły się one na fortyfikacje, chroniące granicę zachodnią.

Zapewne, że będzie to rzecz kosztowna i trudna. Pieniądze jednak na to znaleźć się muszą. W grę bowiem wchodzą o wiele ważniejsze wartości jak pieniądze, bo całość naszych granic, zmniejszenie zniszczenia wojennego w najkulturalniejszych dzielnicach Polski, no i możność obniżenia naszych strat w najcenniejszych wartościach to jest w ludziach.

Myślę, że będę wyrazem całego młodego pokolenia narodowego, jeśli wyrażę nadzieję, że w razie, gdyby rząd zdecydował się na budowę naszych umocnień granicznych, to młodzież narodowa stanie ochotniczo do obowiązku pracy nad tem dziełem naszej zachodniej granicy.

X. Y.

Jubileusz znakomitego uczonego-ekonomisty

W miesiącu marcu wypadła niecodzienna rocznica 25-lecia pracy i wysiłków twórczych na polu nauki polskiej, znakomitego uczonego-ekonomisty, profesora Uniwersytetu Poznańskiego dr. Edwarda TAYLORA. Ze względu na to, że jubileusz ten ma zaszczyt święcić poznańskie środowisko, które szczególnie umie należycie oceniać każdą twórczość, a tembardziej naukową, czujemy się w miłym obowiązku omówić w następnym „Głosie" bliżej dorobek Drogiego Jubilata, będącego chlubą nauki nietylko polskiej, ale i europejskiej.

(Dokończenie z str. 1)

pończyków znajduje ciągle urzeczywistnianie się w czynach bohaterskich, zarówno w czasie wojny jak i pokoju.

Jeżeli teraz sięgniemy do polskiej rzeczywistości przeszłej i teraźniejszej, to możemy postawić tezę, że naród polski posiada duże możliwości stania się narodem heroicznym. Wyrazem tych możliwości jest nasza historja, wykazująca, że Polacy byli zawsze zdolni do heroicznych czynów w krótkotrwałych przebiegach sporadycznych.

Dążeniem naszego światopoglądu i ruchu narodowego jest wydobywać ciągle z jednostek i narodu w entuzjazmie walki istniejący kapitał heroizmu.

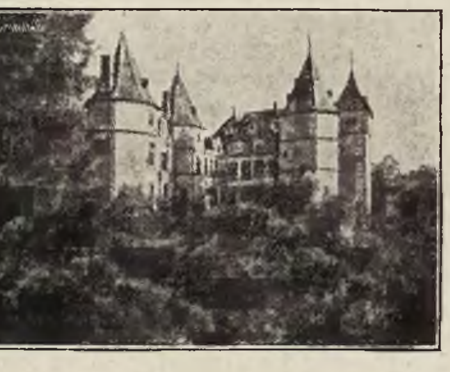
STAĆ SIĘ TO OCZYWIŚCIE MOŻE TYLKO WTEDY, GDY NARÓD OSIĄGNIE ZUPEŁNE ZESPOLENIE W JEDNOLITEJ I GŁĘBOKIEJ ŚWIADOMOŚCI SWOICH ZADAŃ I ROLI, WYBIEGAJĄCEJ POZA DOCZESNE INTERESY JEDNOSTEK I GRUP, I BĘDĄCEJ DROGOWSKAZEM I BODŹCEM DO NADLUDZKICH WYSIŁKÓW W WALCE O NOWY PORZĄDEK RZECZY.

Stać się to musi dlatego, że wchodzimy w okres dziejów, w którym rozpoczyna się szlachetny wyścig narodów do osiągnięcia pełni swojej osobowości, twórczej i wielkiej.

Tę walkę o pełnię „ja" naszego narodu nie od dziś prowadzimy, wychowując coraz to nowe szeregi bojowników idei, którym dziś na imię — prości ludzie świadomcy narodowi.

Jutra ich nie przesądzamy, oni walczą o ziszczenie się prawdy — Wielkiej Polski. W WALCE MUSZĄ ZDOBYWAĆ SIĘ NA CIĄGŁE I OLBRZYMIE WYSIŁKI WOLI I CZYNÓW, PAMIĘTAJĄC, ŻE DROGA DO WIELKOŚCI NARODU PROWADZI TYLKO PRZEZ HEROIZM JEDNOSTEK I CAŁYCH POKOLEŃ.

Jan Rus.



Zamek w Gołuchowie, gdzie się mieszczą cenne zbiory ks. Czartoryskich.

U źródeł kultury rosyjskiej

I.

Giną jedne kultury a pozostają drugie — jest to zjawiskiem zupełnie powszechnem w dziejach ludzkości. Zaginęła kędyś kultura Mykeny, a dawniej jeszcze Egiptu i Sunorji. Jest to nawet objaw dodatni, bowiem każda kultura posiada swój początek, punkt szczytowy rozwoju i wreszcie koniec. Gorzej jest, gdy dana kultura, zbliżając się w treści swej do końca, nie znajduje następczyni — skostniała wiedzie wtedy swój żywot dalej, naród taki jest podobny do starca, który żyje wspomnieniem. Stan podobny widzimy dzisiaj w kulturze chińskiej. Kultura ta dawno się wyczerpała, a nieodświeżona nowym dopływem treści, przetrawia majestat minionych wieków. Tu uwydatnia się nam dopiero doniosłość światowych kataklizmów, niszczących w oczach naszych wysokie i stare kultury.

Podobny obraz przedstawiała kiedyś kultura Bizancjum. Już za czasów rzymskich cesarzy zarysowywał się rozłam między Rzymem, a Stolicą Wschodu. Bizancjum już wtedy tworzyło dziwny konglomerat różnych kultur starych i częściowo wymarłych. W tym samym czasie Rzym przedstawiał zupełnie inny obraz. Stanowił on pod względem kultury typ jeszcze względnie młody, aczkolwiek posiadał w swej treści i formie cały szereg pierwiastków starych kultur, w szczególności wschodnich.

Nową epokę tworzy w kulturach ówczesnych powstanie chrześcijaństwa. Boć przecież chrześcijaństwo, to nietylko prąd religijny, ale w szerokim stopniu także kulturalny; to trzeba sobie dokładnie uświadomić! Chrześcijaństwo, zmagając się z pogaństwem, nie zwalczało tylko wierzeń religijnych pogan, lecz zwalczało ono też pierwiastki ówczesnych kultur, wnosząc na ich miejsce własne. Walka tych dwóch prądów, a mianowicie chrześcijaństwa z pogańskiemi kulturami, nie ustała z chwilą przyjęcia chrztu przez ówczesny świat, trwała ona dalej bez przerwy. Gdyby zostawić normalnemu biegowi walkę tych dwóch prądów w Rzymie, niewiadomo, jaki byłby wynik.

Stało się inaczej. W chwili zmagania się dwóch prądów przyszedł orężny kolonizacyjny podbój Rzymu. Kulturę Rzymu obrócili najeźdzcy w perzynę — nie wytrzymała ona ogniowej próby — runęła. Chrześcijaństwo przetrwało jednak pęd najeźdczy. Zaryzykować można tu twierdzenie, że właściwie najazdy barbarzyńców były dla chrześcijaństwa zbawienne poprostu. One pomogły mu do zwycięstwa. Młoda kultura chrześcijaństwa natrafiła na podatny grunt — na grunt tak samo młody. Stąd też przyjęcie chrześcijaństwa przez jakiś naród z Rzymu było przyjęciem zarazem kultury, przed którą stała przyszłość, przedstawiająca się w najlepszych kolorach.

Tymczasem na wschodzie stało się inaczej. Bizancjum nie doznało żadnego trwałego wstrząsu. Młody pęd chrześcijaństwa zlał się z kulturą, o której istocie już mówiliśmy wyżej. Kultura Bizancjum zbliżała się ku stadjum zgonu. Żyła tylko wspomnieniem, cieniem majestatu, który daje starość — sędziwy wiek. Wyczerpana w treści przeżuwała ona tylko stare, skostniałe już formy, wykończała szczegóły, cyzelowała, a brak nowych form i treści tłumiła blaskiem złota. W podświadomości, gdzieś około 10—12 wieku zjawia się napuszona pustka kulturalna, zjawia się pesymizm. Gorzej — gdyż cechy te odbiły się także na chrześcijaństwie bizantyjskiem, stało się ono bowiem w tym czasie nawskroś pesymistyczne, minęło się właściwie z istotnem jego założeniem, gdyż najcharakterystyczniejszą przecież cechą chrześcijaństwa Chrystusa jest radość życia! Mimo to stolica wschodu nawet w tym jeszcze czasie dumnie patrzy na Rzym i ma nawet siłę i odwagę z nim rywalizować.

Chrześcijaństwo z Bizancjum przyjmuje Bułgarja a następnie inne kraje słowiańskie, jak Serbja i Ruś. W chwili przyjmowania chrześcijaństwa przez Bułgarję z Bizancjum było ono jeszcze niezupełnie przeżarte pesymizmem. Uczeni wykazują nawet, że chrześcijaństwo przyjęte przez Ruś było raczej jeszcze optymistyczne, gdyż wywodziło się ono z Bułgarji. Dalsze jednak związki z Bizancjum pchnęły i Bułgarję i Ruś na tory raczej pesymizmu. Najdoskonalszym wyrazem epoki bizantyjskiej z wieku XI. to Jan Geometra, biskup i pisarz, jedna z najświatlejszych postaci na ponurym horyzoncie Bosforu. On jeden zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje, ale biegu wypadków już nie mógł odwrócić. Bizancjum legło niebawem pod toporem półksiężyca. Allah rozpoczął panowanie i do dziś dnia tam panuje.

I dobrze się może stało, że skończono z tem, z czem skończyć należało już dawniej. Legło centrum, lecz zostały niestety szerokie połacie krajów słowiańskich. Ostatnia córka Paleologów idzie na Ruś, do Rosji, do Moskwy. Kultura bizantyjska formalnie przenosi się do Słowian i u nich szuka ochrony.

Słowianie, przyjmując już dawniej religję z Bizancjum, rzecz jasna przyjąć musieli i z tem się wiążący światopogląd, oraz z niego wypływającą częściowo kulturę. I tu zaczyna się tragedja słowiańskich narodów: schizmatyków. Było poprostu niedopomyślenia, by mogły sobie ją przyswoić. Wygląda to tak w praktyce, jakby nieumytemu barbarzyńcy dać płaszcz purpurowy i berło królewskie! Cóż ma z tem począć, jak się zachować? Zbyt wielki przeskok. Przeskok ten zostawił głębokie ślady w duszy rosyjskiej; ostatnim jego echem to rewolucja bolszewicka. Rosjanin przyjął z bizantyjskiej religji to, co było powierzchowne — jej formy, no i bogatą z natury rzeczy liturgikę, która wyłoniła się z ducha cyzelatorskiej czynności kończącej się kultury.

Rosjanin nie przyjął treści nauki chrześcijańskiej, bo ta przytłumiona była obrzędem, nie mówiąc już o tem, że dawno zagubiła najwłaściwsze wartości światopoglądowe. Stara i wykończona w najmniejszych szczegółach kultura stała zbyt daleko od jego stopy kulturalnej, by mógł ją przyjąć, tem więcej, że sama przecież kultura bizantyjska była na wyczerpaniu i od dłuższego czasu w agonji. Tak więc przyjęcie chrześcijaństwa z Bizancjum stało się nieszczęściem dla Rosji, dla jej ludu. Z tego punktu należałoby też ująć całą historję Rosji. Możeby z tego punktu zbliżyć się można do zrozumienia duszy rosyjskiej, w którą, jak dotychczas, można tylko wierzyć.

Rosjanin czuł ciągle obcość narzuconej sobie kultury — dusza jego tęskniła za czemś zupełnie innem, czepiał się wszystkiego, co go od kultury wogóle wreszcie odgraniczało. Tołstoj, ten kolos, każe zbliżyć się do mużyka rosyjskiego i kochać nawet zawszawiony korzuch, bo to rosyjskie, to swojskie. I miał na swój sposób rację. Nic dziwnego też, że Rosjanin odgraniczał się też od kultury zachodniej, która daleko go wyprzedziła a swym optymizmem i prostotą raziła. Zato dziwny posłuch dawał podszeptom wschodu. Nihilizm pozytywny w stosunku do całego szeregu zagadnień był jego najwymowniejszym obrazem własnej jego duszy.

Jako reakcja przyszła rewolucja bolszewicka, w krwi i pożodze utopiła to, co przyszło zamówione z Bizancjum. I wcale nas nie dziwi rozbrat ludu z cerkwią, nie dziwi nas wcale zew o nową kulturę, o kulturę socjalizmu. Musimy się na to zgodzić, że dziś dopiero wychodzi na jaw istotna treść pokładu duchowego zbiorowej duszy rosyjskiej, tej barbarzyńskiej, nieokrzesanej, ale czującej swą głęboką odrębność i siłę dynamiczną własnej potęgi.

Łunaczarskij, Tetrjakow, Aleksander, Tołstoj Aleksiej, Pilniak Boris, Leonow Leonid, Iwanow Wsiewołod i plejada innych, to może niekiedy i miernoty, ale nie mniej to kolosy, bo oni rzeczywiście tworzą nową kulturę śladem Tołstoja, Gorkiego, Puszkina, Dostojewskiego i tym podobnych. Poglądy ich nietylko znajdują oddźwięk we własnym narodzie, którego są emanacją bodajże najwierniejszą, ale także szeroko poza granicami. U nas w Polsce poglądy ich znajdują szerokich zwolenników, czego wyrazem jest choćby organizacja Legjon Młodych, głoszący „nacjonalizm państwowy", co oczywiście jest zupełnie bolszewickie, bo niczem oprócz terminu nie różni się od tez Kominternu. Przeciwieństw niema tu żadnych, jak to postaramy się wykazać w jednym z następnych artykułów. W dalszym ciągu zajmiemy się zanalizowaniem zmagania się katolicyzmu z prawosławiem na terenie polskim, gdzie oprócz walk dwóch kultur, dojdzie jeszcze szereg innych kwestyj z tem związanych. Zanalizujemy też postawę prawosławia polskiego, wyniki Unji Brzeskiej a nareszcie zajmiemy się kwestją t. zw. obrządku wschodniego czyli akcji Pro Russia. Uwzględniać będziemy tu też punkt widzenia Kościoła i interes naszego narodu, wskazując na zakończenie możliwość sharmonizowania obu interesów tak Kościoła jak i państwa.

Henryk Borodeński.

Czy wiecie że...

zarządy żydowskich krajowych i zagranicznych towarzystw ubezpieczeniowych: Port, Asicurazioni Jenerali i Orzeł w r. 1933 na dyrektorów swych poznańskich oddziałów wyznaczyły Niemców, z których tylko jeden rozumie po polsku, lecz i on część podwładnego mu personelu polskiego zastąpił niemieckim. Każdy Polak ubezpieczony w tych towarzystwach powinien wiedzieć, jak zareagować na tę prowokację naszych uczuć i naszych interesów narodowych.

Przyjaźń żydowsko-niemiecka przetrwała rządy Hitlera, jeśli chodzi o gospodarcze wyzyskiwanie Polaków. Polaku, czy chcesz utrzymywać za swe pieniądze dyrektorów, personel i kapitał żydowski i niemiecki?! Żydostwo traktujemy jako pasożytów na ciele gospodarczego organizmu Polski. Jeśli ktoś miał jakieś wątpliwości, co do stosunku Żydów do Polaków, to prowokacja ta winna mu otworzyć oczy. Prawdziwi Polacy ubezpieczają się tylko w polskich towarzystwach ubezpieczeniowych, inaczej nie są godni miana Polaka, lecz szabesgoja.

Ri.

Z przybytku Melpomeny

Międzynarodówka alfonsów

Zwracamy uwagę: w „katolickim" i „narodowo uświadomionym" Poznaniu Teatr Nowy wystawił porkonerję niemiecką: „Pan z towarzystwa".

„Pan z towarzystwa", napisany w oparach ciężkiego, niemieckiego piwska i atmosferze zgniłego sera, jest tak nędzną ramotą, że niepodobna sobie wytłomaczyć jego pojawienia się na scenie Nowego. Jest on zresztą skandalem w twórczości samego Hasenclevera, autora skądinąd znanego i nagradzanego. Znanego już dość dawno w Polsce. Jedną bowiem z jego pierwszych sztuk t. j. „Ludzi" tłomaczył dla Piekarskiego (który ich sfiaskował w Krakowie) zasłużony Hilary Majkowski.

Nie jestem purystą. Nie uważam także, aby recenzent spełniał wobec teatru rolę rycynusu. Lecz na tej źle napisanej, głupiej i ordynarnej komedji nie mogłem wysiedzieć do końca. Wyszedłem po drugim akcie.

Ten „Pan z towarzystwa", ten „prostytut" męski, który w haniebny sposób wyłudza ostatnie marki niemieckim kucharom, brzydkim pokojówkom i starszym wdowom jest darzony przez autora wybitną sympatją. Mało! Hasenclever lansuje, poleca, zaleca, reklamuje tę cochonerję, nadaje jej tło społeczne. Jego bohater to dobroczyńca kobiet. Stwarza im świat wzruszeń i złudzeń, zapełnia pustkę „wychodnego". Że za listy, które do niego owe brzydactwa niewieście piszą, ordynarnie je okrada z wszystkich oszczędności — to dla niemieckiego autora głupstwo. To tylko — quasi honorarjum literackie.

Przecież stwarza im za to iluzje, poetyzuje życie, nadając mu pewien sens pozarzeczywisty...

I tu powiedzmy sobie jedno: Ten „Pan z towarzystwa", jaki on tam jest — choć mimowoli — to nic innego, jak tylko bajka, baśń. Taka dzisiejsza baśń „nowoczesna"...

Ludzie pragną złudzeń, pragną iluzyj, tęsknią do Andersenowskich okularów. Potrzebę fikcji, dzisiejszy głód fikcji tem większy, im bardziej życie wymaga „priorów" i „realjów" mimowoli podchwycił Hasenclever.

A że w jego ręku czarodziejskie, poetyczne okulary zmienią się na płatnego draba do „jednorazowej usługi za dobrem wynagrodzeniem" (patrz osobiste w I. K. C.) — to zmusza nas, abyśmy postawili sobie parę pytań: Co to znaczy? Czego taka komedja, podobne jej powieści, zalewające dziś świat, są symptomem? Kto tu jest chorym? Autor, czy ludzkość? Czy może „tylko" Niemcy, ten kraj pederastów i wszelkiej porkonerji seksualnej.

Bo zadziwiającym jest stosunek autora do swego bohatera.

Autor przywodzi tu na myśl adwokata Molla z głośnej powieści Kaestnera „Fabjan". Jest w niej taka scena, że żona dr. praw. Feliksa Molla, taka rozwydrzona berlińska hetera, taka Puty-phalla, dzisiejsza, przyciąga do swej sypialni mężczyznę; jest nim Fabjan, bohater powieści. W chwili, kiedy się rzuca na niego, wchodzi mąż. Nie czasami, aby „zrobić scenę"! To tylko umowa między małżonkami. Mąż jej bowiem ma obowiązek taksować seksualnie jej kochanków.

Paragraf 4 tej umowy małżeńskiej brzmi: „Kontrahentka obowiązuje się każdego człowieka, z którym zamierza wstąpić w intymne stosunki, przyprowadzić przedtem do swego męża, doktora Felikca Moll..."

A kiedy zniecierpliwiony Fabjan pragnie odejść, Moll błaga, żeby został: „Niechże pan zostanie, proszę bardzo! Irena tak się cieszyła... Niechże pan jej użyczy tej malutkiej przyjemności..."

Co to jest? To jest dzisiejsza rodzina? Czy to jest małżeństwo dziś? Czy małżeństwo jutra? Te wszystkie lezbijki, nimfomanki, masochistki, ta oślizgła czereda urningów, nekrofilów, sadystów, ta cała banda zboczeńców, wałęsających się po dzisiejszej literaturze, ta międzynarodówka alfonsów i prostytutek, ten cały promiskuityzm — to nasze narzeczone, żony, siostry? To my wszyscy wreszcie?

Wiek wyzwolonej kobiety i wiek dziecka! Tak zowią nasze stulecie!

Ciekawem jest to, że w wieku praw dziecka instytuuje się mord na niem, zanim ono jeszcze na świat przyszło z swych praw korzystać!

Ciekawem jest to, że kobieta wyzwoliła tylko brzuch, a raczej pewną jego okolicę. I że miejsce przy „ognisku domowem" (?) zamieniła na łóżko. Droga niedaleka wprawdzie, ale łatwa. Bo nie wzwyż, a wdół.

Czy ten brzuch jest naprawdę centralnym punktem orbity ludzkich dążeń, czy tylko dokoła niego kręci się świat, jak w „Zazdrości i medycynie" Choromańskiego i w setkach innych powieści i sztukach.

Czy też literaturę opanowała jakaś międzynarodówki alfonsów i stręczycieli, którzy ludzkie ścieki nakryli czerwonem suknem, a na niem ustawili dwa bóstwa: Clitoris i Phallus.

Oto parę pytań, które — mimowoli — nasunęła „komedja" Hasenclevera, tłomaczona bezkarnie na język polski przez pewną literacką sutenerkę, dotychczas jeszcze na wolności.

Turski

TEATR POLSKI

Ten i Tamten, St. Kiedrzyńskiego

Kiedrzyński posiada w swej alchemji teatralnej jakieś przedziwne specyfiki, jakieś eliksiry, które ogromnie biorą publiczność.

To taki homeopata. — „mundry" (mądry), jak Wielkopolanie mówią, który po kilku udałych zabiegach leczy sugestją tych zabiegów. Właściwie tą „sugestją faktu" leczą się pacjenci sami — jeśli mają ufność i wiarę.

W takim wypadku nawet zabarwiona woda działa jak najlepsze lekarstwo.

Poprostu szczęściarz.

Charakterystyczne są jego postaci i happy end'y jego komedyj. Widz opuszcza teatr zadowolony, że wygrywa lepsza, szlachetniejsza sprawa. Zawsze to przyjemnie, „kiedy zacny kawaler łotra pogrąży", jak mówi któraś z postaci „Trylogji". Zresztą patentowanych łotrów u Kiedrzyńskiego naogół niema.

Mają jego komedje „coś" z bajek. Odzywa się z nich do widza najmilsze wspomnienie z lat dziecinnych, kiedy po tysiąckroć drżał o losy swych bohaterów, kiedy pragnął im pomóc, odwrócić niebezpieczeństwa, choć zgóry wiedział szczęśliwe zakończenie.

Kiedrzyński, przemiły, dobry wujcio (broń Boże Czesio!) darzy serdeczną miłością nietylko dzieci, którym opowiada, lecz i swych bohaterów.

To też choć każe im być w ciężkich nieraz tarapatach, zawsze przecież wychodzą cało. A nawet z większą gotówką, jak bohater jego ostatniej komedji, pianista Kros.

Ten jego sposób, w jaki rozwiązuje konflikt, znajduje żywe echo na widzowni.

Dlatego właśnie, że niczem nie przypomina dzisiejszego życia.

Mamy dość w niem aferzystów, złodziei sutenerów i polskich filmów. A propos: co też nasi krajowi scenarzyści i reżyserzy powiedzą na to, że w komedji Kiedrzyńskiego jest krajanka, Polka, w wieku lat 18 — i dziewica?! Że żona, która chce odejść od męża, nie zdradziła go poprzednio i nie jest właścicielką tajnego domu rozpusty, gdzie się wioluje niemowlęta?!

Co tu dużo pisać — miła komedja! I choć ma szereg poprostu irytująco naiwnych scen (np. druga połowa drugiego aktu), macha się ręką. Nie chce się o nich pamiętać, jak nie pamiętamy drobnego faux pas człowiekowi, którego ogromnie lubimy.

Mimowoli nadano tej komedji charakter farsy. Piszę „mimowoli", gdyż nie mam żadnych złudzeń co do reżyserskich uzdolnień p. Arkawin. I dobrze się stało. Mniej razi owa łatwizna konfliktu i sytuacyj tak właściwa Kiedrzyńskiemu, a w „Tym i tamtym" mająca chyba swoje apogeum.

Grano naogół bardzo dobrze. Świetnym był Noskowski. Peliński, który wreszcie nie potrzebował odwalać jakiegoś farsowego cymbała, miał sposobność pokazać publiczności poznańskiej swoje, dotąd niewykorzystane w Poznaniu możliwości, o których jego lwowskie wielbicielki dotychczas żywo pamiętają.

Szczęśliwy wieczór miała Zasadzianka. Jej sympatyczny podlotek, taki kilkunastoletni enfant terrible szastał się po scenie z nadzwyczajnym temperamentem i wiośnianym urokiem.

Oklaskiwano ją przy otwartej kurtynie.

Turski

TEATR NOWY

NOWA KOBIETA Morozowicz-Szczepkowskiej

To zajmująca farsa. Nawet bardzo zajmująca ...czas, bo aż blisko 3 godziny.

Trzy godziny typowo babskiego ględzenia, hałasu, rejwachu. Prawdziwy „Sejm niewieści" Bielskiego, same słowa. Logika do góry nogami, ta niewieścia logika, o której powiedziano, że jest jak zegarek. Albo się spóźnia, albo nie funkcjonuje wcale...

Temat: mężczyzna to ścierwo, raz, drugi może być interesującym. Ale takie wałkowanie per longum et latum, takie kumoszkowate przyczepienie się do guzika, taka krucjata komunału, frazesu i plotki — haniebnie nudzi.

Jeśli autorka pragnie pisać satyry na synów Adama — niech sobie przeczyta co i przedewszystkiem jak panom stworzenia potrafi nawymyślać pierwszy z brzegu mężczyzna. A jeśli nie zechce czytać (bo przecież druk wynalazł niejaki Jan Gutenberg — horribile credittu — mężczyzna!) to niech sobie przypomni, że to wszystko, co nam trajkocą jej bohaterki, dziewięć razy lepiej, dziesięć razy głębiej i miljon razy sceniczniej pokazała, powiedziała i udowodniła autorka „Ahasverusa".

Nowa kobieta p. Szczepkowskiej jednej jednak cechy niewieściej nie może się pozbyć. Mianowicie gadulstwa. Gada i mówi frazesy od rana do rana.

Tu w dalszym ciągu jest aktualny dowcip owego Jezuity, który powiedział, że Chrystus po zmartwychwstaniu dlatego pokazał się najpierw niewieście, bo chciał, aby się ta wieść szybko rozniosła...

Zresztą zmiana watowanej matinki na kombinację, talerza na dysk a przyszywania guzików na pisanie na maszynie — to jeszcze nie rewolucja w psychice kobiet.

W dalszym ciągu będą one ukrywać tajemnicę swych lat — jak ziemia, która także (we wszystkich językach) jest rodzaju żeńskiego. I dlatego nikt nie może określić jej wieku.

Ta nieporządnie fatałaszkami upakowana walizka nie ma ani akcji, ani żadnego „zadzierżgnięcia węzła", ani rozwiązania. Jedynem, co się w tej komedji rozwiązuje, to krawat, na którym powiesił się stary profesor od insektów. Nie dziwiłbym się, gdyby to samo zrobił z rozpaczy cały zespół.

A propos. Ten profesor to zupełnie mimowolny hołd autorki pod adresem męskiego rodu. Dowodząc à la p. Szczepkowska, można powiedzieć: — Oto, do czego mężczyzna jest zdolen. Popełnia samobójstwo, gdyż stał się mimowolnym kolporterem fałszywej teorji naukowej. Czyż kobieta zdobyłaby się na coś podobnego, czy potrafiłaby popełnić samobójstwo z innego powodu, niż z obawy, że ma mieć dziecko?...

Taki mniejwięcej jest proces myślowy u autorki „Milczącej siły". Pod innym tylko adresem.

Dziwię się, dlaczego dyrektorzy teatrów demonstrują te wszystkie „Sprawy Moniki", „Milczące siły", „Nowe kobiety".

Chociaż nie jest w tem nic dziwnego. Przecież monopol alkoholowy co roku z okazji „Tygodnia Trzeźwości" daje ładne tysiączki na walkę z alkoholem.

Na prapremjerze pewna kategorja widzów oklaskiwała Nową kobietę bardzo żywo. Ludzie zaś, ziewając, melancholijnie wzruszali ramionami.

Gdyby reżyser (wbrew założeniom autorki oczywiście) był przerysował bohaterkę na lekką groteskę, zaskarbiłby sobie wdzięczność p. Szczepkowskiej. Farsa bowiem zyskałaby jednolity ton satyryczny. Pani Sawicka, artystka bardzo zdolna — do farsy nie nadaje się. Ma swoisty zbyt silny wyraz sceniczny, aby mogła, jak to się mówi- grać naskórkiem i spychać kwestje. Przez to silnie kontrastowała z otoczeniem, a idee autorki tem wyraziściej wyglądały w jej ustach na frazes.

Porębska i Taborska — doskonałe. Już mają swoją publiczność! Znam wiele osób, które uzależniają swoje pójście do Nowego od tego, czy gra jedna z tych artystek.

Taborska zasługuje na to, aby pisać o niej z entuzjazmem.

Ta młodziutka artystka jest bezprzecznie najzdolniejszą w Poznaniu z młodego pokolenia córek Melpomeny.

Turski.

KĄCIK JĘZYKOWY

JĘZYK POLSKI

Począwszy od bieżącego numeru wprowadzamy „Kącik językowy", powierzając jego prowadzenie doskonałemu fachowcowi Henrykowi Borodeńskiemu.

Ukazał się pierwszy tegoroczny numer świetnie redagowanego czasopisma „Język Polski."*) Czasopismo to służy, jak już sam tytuł wskazuje, językowi ojczystemu — notuje ono wszelkie jego aktualne przejawy, a często sięga do jego przebogatej przeszłości, szerząc umiłowanie i zrozumienie istotnych walorów naszego języka. W ostatnim numerze dwa artykuły mogą zainteresować szerszy ogół, a to artykuł prof. Nitscha o korektorach językowych słów kilka, oraz prof. Klicha z Poznania o „wysokożem wylazł".

Prof. Nitsch porusza wiecznie palącą sprawę korektorów. Jest to zawód naprawdę trudny. Przecież niema tu stałej miary, schematu, według którego możnaby korygować. Prawidła są bardzo ogólne i, rzecz zrozumiała, korzystanie z nich stanowi też nielada trudność. Tem słuszniejsze jest wołanie prof. Nitscha o naukowych korektorów i to korektorów rozumnych. Takim nie może być przygodny „znawca" lub miłośnik choćby języka polskiego, tu może jedynie poradzić fachowiec. Jest to tem ważniejsza kwestja, że polski język przez 150 przecież lat był uciskany, Polacy, tułający się po obcych krajach masami, zatracili czystość języka i dziś, wróciwszy do ojczyzny, dużo owego pięknego balastu nam przywieźli i dziś noszą go w pismach i literaturze. Doskonale ilustruje to nam prof. Klich w drugim artykule. Mówi on o nowotworze, który pojawiać zaczyna się już w druku, a mianowicie rozszerzenie słowa posiłkowego partykułą „że" w sensie wysokożem wylazł. Otóż nowotwór ten wcale nie jest obcego pochodzenia, jest on rodzimy, a spotykamy go już nawet u Reya. O jego czystem pochodzeniu świadczy podkład gwary, który nim się posługuje w całej rozciągłości. Naszem zdaniem tego rodzaju nowotwory mają pełne prawo obywatelskie i przeciw takim nowotworom niema co korektorom walczyć.

Żało nie jednego, ale dwóch korektorów trzeba niekiedy nie zwykłemu śmiertelnikowi, ale niektórym członkom Polskiej Akademji Literatury, którzy podobno mają kształtować język polski. Prof. Nitsch tak się wyraża o owych osobliwościach: „Gazeta pisząca weszłem, pozwalająca na formę łżeć choćby komuś, odpowiadającemu za to swem nazwiskiem, lub pozwalająca komuś, podpisującemu się „dr", gadać o „kobietach tłuczących drewnianemi moździerzami w drewnianych stupach" — nie posiada oczywiście korektora językowego (a jeśli go posiada, to go powinna natychmiast odprawić za wyjątkowy brak kwalifikacyj). Gorzej, jeśli tak wychwalany autor, jak „młody" laureat M. Choromański, nie poczuwa się do obowiązku przeuczenia się ze swej rodzinnej czy dziecinnej polszczyzny rosyjskiej („przypominała belgijskich dzieci") na prawdziwą; skoro do „na ramieniu" dorabia sobie „nagie ramienie", to i do „w ręku" dorobić może jakieś to „ręko" itp.; darmo, tu nie można komponować, tu się trzeba uczyć, trzeba samemu sobie wziąść korektora — noblesse oblige. Ale cóż robić, jeśli członek Polskiej Akademji Literatury pisze o „brzemieniach", jeśli pisze z lwowska „owe szaleństwo"? U profesora Klicha dowiadujemy się, że „owe szaleństwo" o „brzemieniach" ma na sumieniu p. J. Kaden-Bandrowski. Prof. Klich, dawszy całą serję podobnych kwiatków i kwiatuszków językowych, i to zebranych po największej części u członków Polskiej Akad. Lit. a z gazet: Gazety Polskiej i I. K. C., dochodzi do wniosku, że „z punktu widzenia kultury językowej są one zastraszającem dowodem anarchji i barbarzyństwa". I rzeczywiście nie mamy co ramionami ruszać, widząc u naszych najwyższych świeczników, bo przecież członków P. A. L., takie barbarzyństwo. Cóż dopiero mówić o reszcie, tych zwykłych śmiertelnikach, którzy niby powinni się nawet przecież wzorować na owych wysokich — nieśmiertelnych. Możnaby ostatecznie darować „weszłem" i „łżeć", ale nie dodarowania jest „nagie ramienie" i „przy brzemieniach".

Henryk Borodeński

*) „Język Polski", organ Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego. Redaktor prof. Kazimierz Nitsch (Kraków, Salwator, Gontyna 12).

Z wystaw poznańskich

Wystawa zbiorowa Roguskiego i Kaima

Wnioskując z stosunkowo częstych wystaw zbiorowych i bieżących Roguskiego, należy przypuszczać, zwyczajnie w takich razach, że artysta pragnie widocznie dać się poznać szerzej ogółowi lub wywrzeć jakiś wpływ określony na otoczenie. To drugie, zdaje się, leży w zamierzeniach Roguskiego. Aby jednak malarz mógł tak daleko sięgać i doprowadzić, musi i powinna mieć jego własna twórczość określony charakter i oblicze. A tego -w istocie Roguski nie ma, nie wiadomo o co mu chodzi, co jest jego właściwem dążeniem, jakie cele pragnie urzeczywistnić. Niby jest jakaś stylizacja, jakieś oparcie się o formy (tylko formy) ludowe, które mają dawać charakter całej jego twórczości. Stylizacja ta jednak nie jest właściwą, która polega na indywidualnem przekształcaniu realnych wrażeń, przenoszonych na papier czy płótno z pamięci, lecz tylko wygodnem upraszczaniem formy czy nawet barwy. Tak samo ludowość, czy narodowość jest czysto zewnętrzna.

Mimo jednak tych zasadniczych zastrzeżeń Roguskiego można uważać za artystę wyrobionym talencie i pojeciu malarskiem, i jest on takim niewątpliwie. Lecz dlaczego na każdej wystawie stara się obniżyć w oczach krytyki, umieszczając ciągle te same słabe prace, nie eliminując ich? Dlaczego nie usunie ich definitywnie, pozostawiając tylko dobre i możliwe, których znowu tak mało nie ma. Dlaczego np. musimy patrzeć na Tekę Legjonową, gdzie forma z kompozycją walczą o gorsze? Daje to fałszywe pojęcie i błędne mniemanie o malarstwie Roguskiego. Należy się przypatrzeć jego Madonnom i niektórym portretom. Roguski umie wydobyć to, o co właściwie w Madonnach najwięcej chodzi: sentyment, wdzięk i uczucie. Wszystko to umie zespolić i zgrać dyskretną barwą. Wplata w to zgrabnie, dekoracyjnie motywy ornamentacyjne, co w całości gra rzeczywiście bardzo dobrze. Portrety dobrze, oddające charakter, również są ożywione bogato stosowanemi ornamentami.

Kaim wystawił większą ilość plakiet portretowych, bronzowych i fajansowych i dwie rzeźby pełnoplastyczne. Pokazał nam w nich, że jest rasowym młodym rzeźbiarzem, kształcącym się i pracującym nad sobą, idącym konsekwentnie naprzód. Nie zasklepia się w sobie, ma szeroko otwarte oczy na aktualne wydarzenia świata artystycznego. Dlatego już z obecnej wystawy widzimy, że stanął na poziomie niebylejakim.

Kaim posiada to, co narówni ceni się u artysty z talentem i instynktem twórczym: smak i kulturę. U niego te trzy zalety składają się na dużą indywidualność, która wie czego chce i potrafi pokonać trudy przy zdobywaniu zamierzonego celu.

Kaim zna doskonale wartości materjału i umie w nim wyzyskać wszelkie możliwe efekty. Jego portretowe plakiety pokazują, jak świetnie umie się wczuć w charakter osoby portretowej i oddać go w bronzie. Mimo ich dużej ilości, nie zatraca się różnorodność typów i cechy indywidualne występują wyraźnie. Kaim daleki jest od jakiegokolwiek szablonu i niema u niego mowy o manierze. A oto przecież powinno chodzić najwięcej w portrecie. Plakiety fajansowe, mimo podobnego modelowania, osiągają całkiem inne efekty, wyrażające się w miękkich przejściach światła i cienia i w delikatnie zarysowującym się konturze. Kaim jest artystą nowoczesnym, jak to widzimy z terrakotowego posążka Djany, gdzie forma modernistyczna łączy się z zwartą kompozycją bryły.

rec. t.



Kaim Ed. Raczyński

Wystawa Czyżewskiego, Tomorowicza i Polańskiego

Czyżewski robi wrażenie jakby chciał zakpić z publiczności i pokazał jej swoje rysunki i blade akwarelki. Z tych paru rzeczy nie można sobie wyrobić zdania o zdolnościach malarza, a przynajmniej bardzo ujemne. Bo mocno spaczone spojrzenie na rzeczywistość i jej przekształcanie, również spaczone, na papierze, nie jest jakimś nadzwyczajnym, godnym podziwu momentem twórczym. Również, już trochę po ludzku traktowane, Główka i jeden Pejzaż nie świadczą wcale o talencie artysty. Mało w tem wszystkiem widać wyczucia malarskiego, któreby usprawiedliwiało formę tego co widzimy.

Gwasze Tomorowicza wskazują na zdecydowany i określony charakter jego twórczości. Zagadnienia kolorystyczne i kompozycyjne odgrywają w niej główną rolę. Kompozycja wkracza u niego na nowe tory (które nb. uwidaczniają się w obecnem malarstwie europejskiem). Główna jej oś nie przecina nawskroś obrazu, jak to było dawniej, lecz idzie równolegle do jego ram, stwarzając nowe akcenty i szukając nowego ośrodka. Z tem wszystkiem zgrany jest kolor, miejscami bardzo soczysty, który pomaga koncentrować, podkreślać i wydobywać zamierzone efekty. Niekiedy koloryt, zupełnie czystemi wydobyty barwami w połączeniu z prostą kompozycją, stwarza prosty o całkiem odmiennym od innych charakterze i efekcie malarskim pejzaż. Farby nakłada lekko, pendzel prowadzi techniką kreskową, punktową, zygzakiem itp. Tomorowicz więc, jak widzimy z tego wszystkiego, posiada wyrobiony charakter i zdecydowany wygląd artystyczny. Nie świadczy to jakoby nie miał on wogóle słabych prac na wystawie, owszem są, ale ogólne wrażenie całego pokazu jest sympatyczne i bez wszelkiej wątpliwości dodatnie.

W pracach Polańskiego uwydatnia się wyraźnie proces rozwojowy artysty, od początkowych, kubistycznych po picassowsku traktowanych, poprzez wyraźne zlagodzenie formy, aż do ostatnich wykonanych techniką swobodną prawie pointylistyczną. Inwencja artysty jest dość uboga, ograniczająca się do jednobarwnego sposobu rysowania i do ciągłego przedstawiania niemal tylko lasu i drzew. Pozatem obrazy nie odznaczają się wybitnie dobrem operowaniem rysunku, ani przemyślaną kompozycją. Dlatego też rysunki Polańskiego szybko się „opatrzą" i nie wywierają wcale wrażenia wybitnej sztuki malarskiej.

rec. t.



M. Ziółkowski Portret p. K.

Wyczółkowski w Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych

Prace Wyczółkowskiego pochodzą z ostatniego okresu i są wyrazem najnowszej twórczości mistrza. Przekonaliśmy się znowu, że po tylu niespodziankach, że po tylu okresach przynoszących ciągłe zmiany w sposobie i rodzaju twórczości znów patrzymy na coś zupełnie nowego, odrębnego. Tak jeszcze Wyczółkowski nie malował. Świadczy to o niesłychanej żywotności jego talentu i ciągłej jego młodości. Nowość ta objawila się oczywiście w tem, co jest u niego najbardziej charakterystyczne: w pejzażach.

Przedewszystkiem ciągle doskonałą, ciągle mistrzowską pozostaje technika operowania danemi materjałami rysunkowemi: ołówkiem, kredką, węglem, pastelem itp. Zasadnicza jednak nowość polega na tem, że Wyczółkowski stara się, jaknajmniejszą ilością motywów rozporządzając, oddać i wczuć się w nastrój płaskiego dalekiego krajobrazu, skąpanego i drgającego w pełnem słońcu. I trzeba przyznać, że udaje mu się to znakomicie. Nowy także i wieloraki jest sposób operowania materjałem. Pozwala mu na to niesłychana wprawa i opanowanie techniczne. I tak: łączy ze sobą kredkę i ołówek, pastel i węgiel, itp. Pokrywa niemi papier w rozmaity sposób: przez wcieranie, delikatne rozmazywanie, kreskowanie itp. Niekiedy szary papier jako tło pomaga mu stworzyć nowy efekt.

Dlatego, zastanawiając się nad twórczością Wyczółkowskiego, widzimy, że żaden malarz w Polsce nie jest tak świadom jak on, swej siły, talentu i zdolności operowania tyloma mocami, które są istotną rzeczą malarstwa. Żaden też nie może dorównać mu talentem.

Oprócz tych najistotniejszych prac widzimy szereg litografij, rysunków i trzy portrety olejne. Litografje (lub też rysunki oblicżone i wykonane w efekcie litografícznie) nie wychodzą poza dotychczasowe granice twórcze, to znaczy nie różnią się niczem w sposobie wykonania ani nie przekraczają rezultatów, które Wyczółkowski po mistrzowsku na tem polu osiągnął. Wyróżnia się Wnętrze lasu, na czerwonym podkładzie, gdzie kapitalnie oddana została gra świateł i cieni. Wnętrze kościoła Marjackiego w Toruniu, przerobione na kolorowy rysunek, straciło może trochę ze swej surowej i wspaniałej monumentalności. Portrety odznaczają się bardzo dobrą charakterystyką twarzy i głowy, może zało trochę słabiej potraktowana jest reszta obrazu. Np. w portrecie brata Alberta szary habit nadawał się szczególnie do wydobycia specjalnie pięknych efektów kolorystycznych i kompozycyjnych.

rec. t.

Drzeworyty Lama

Na wystawie w I. K. S.-ie oglądamy ostatnie prace Lama obok jego cyklu „Don Kiszot" (datującego się mniejwięcej z przed 10-ciu lat). Dobrze więc możemy śledzić rozwój i postęp w twórczości artysty.

Cykl „Don Kiszot" jest wykonany dość surową i sztywną techniką, która zdradza mniejsze opanowanie, a zato więcej wysiłku nadrobienia szerokim rozmachem i tupetem. Wydobywanie efektów, jak również i kompozycja całości drzeworytu, mimo usiłowania pewnej stylizacji, jest w gruncie rzeczy dość naiwną i surową. Tem większa zato jest różnica widoczna w porównaniu z pracami ostatniemi. Składają się na nie główki, portrety i nieliczne kompozycje figuralne i pejzażowe. Odrazu widać całkowite, doskonałe opanowanie techniczne, wielką skalę możliwości osiągania rozmaitych efektów za pomocą różnych sposobów stosowania i używania materjału. Umiejętne stopniowanie natężenia farby, delikatne czy też grube cięcia, punkty czy plamy swobodnie rozmieszczane, wszystko świadczy o dużej świadomości i poczuciu artystycznem rasowego grafika. Zależnie od tematu lub zamierzenia artysty ostateczny obraz kompozycji daje wraże-

„Rodzina" Słonimskiego

Grana jest ostatnio ta sztuka we wszystkich niemal teatrach całej Polski. Przyczyną nietylko jej wystawienia, ale i powodzenia jest rozgłos autora, zadziwiająco zręczne wykorzystanie aktualności konjunktur społeczno-politycznych i scenicznie (nie ideowo albo psychologicznie!) trafna konstrukcja dramatyczna, w Krakowie także — o ile to dla Polaków w tej sztuce możliwe — doskonała gra aktorów. Sztuka żywo i dowcipnie pisana zaciekawia, a nawet przez wyraźne i zręczne bluźnierstwa przeciw polskiej rzeczywistości podnieca. Tendencja sztuki jasna: przedewszystkiem chęć ośmieszenia narodowej idei młodego polskiego pokolenia. Żydzi, ci bystrzy obserwatorzy wypadków, od pewnego czasu i w sferze politycznej i kulturalnej, wykazują niepokój głęboki wobec rozwoju polskiego nacjonalizmu, dlatego chcą ośmieszyć, póki mogą, dlatego wyzywają, gdy bezpieczni, dlatego szukają nas.

Ileż to już razy na jakiejś imprezie artystycznej i dyskusyjnej byłem na sali sam — narodowiec, a mowa właściwie była głównie o nas. Przy jakiejbądź dyskusji: czy to o pacyfiźmie, czy Sienkiewiczu, czy „Rodzinie"! I Słonimski traci w „Rodzinie" wyraźnie przytomność krytyczną, wpada w przesadę nienaturalną. Typy gorączkowych polskich rewolucjonistów narodowych należą do jej przejawów. — Słonimskiemu właściwa, a tak dziś powszechna, płynna, wielostronna nagonka na naród i jego idee — jest dowodem naszej siły!

Bo naród jako rzecz oczywista, pewna, jest zwartym, na ziemi wystawionym bastjonem obronnym, a psy gończe ze wszystkich stron już to szturmują, a najczęściej szczekają do jego bram. Nasz gród jest w oblężeniu na wszystkich frontach, teraz przez wrogów wewnętrznych — farbowanych lisów, potem będzie przez zewnętrznych.

Nie walka wszakże z nacjonalizmem i młodzieżą narodową, której czule Słonimski poświęca uwagi, jest cechą uderzającą „Rodziny". Żadna w każdym razie głębia. Bo szukanie zagadek w takich sztukach, gdzie ich być nie może, wydrwił złośliwie i słusznie Przybyszewski: tajemna formułka: „naścił roch epiro gazes eremi zrij" okazała się pospolitem: „naści trochę piroga ze serem i żryj". Tak i wiele rzekomych problemów „Rodziny" wydaje mi się tylko prostactwem żydowskiego nihilizmu. Tak, nihilizmu. On to właśnie, warstwa spodnia owej „komedji społecznej" jest najjaskrawszą cechą „Rodziny". Nic to, że kpi sobie Słonimski z idei narodowej — bo cóż się dziwić bezsilnemu? — jest obrazą publiczności polskiej, ale bezmiar żydowskiej destrukcji.

Niema tam już nic dogmatu, ale żadnej etyki; jest rodzina, rodzina nieprawych dzieci i wyrzekających się ich jakby niczego, rodziców, jest nadewszystko rodzina skończonych egoistów, ludzi bez czci i wiary, ludzi - bydląt bez względu na to, czem drugich okłamują: hitlerowiec spowiada się Żydowi, komunista marzy o arystokratycznem pochodzeniu, wojewoda łże o służbie państwowej. I t. d. — to wszystko wstrętne żydowskie wciąganie drugich w błoto cynizmu. Można za wielkim Szczepanowskim, który pisał: „chcę przypuszczać, że się coś szlachetniejszego od mody antysemickiej budzi w młodzieży francuskiej, jeżeli stosuje do Zoli jedyną krytykę, na którą on i jego plugawe dzieła zasługują: conspuez Zola! „plwajcie na Zolę"! — za nim można powtórzyć „plwajcie na twórczość żydowskiej dekstrukcji, na trucizny w postaci „Rodziny!"

My „Rodzin" już długo tolerować nie możemy! Pamiętajmy, że w walce tracimy wrażliwość, ale najmłodsi patrzą i uczą się, pamiętajmy — Kleiner mówi: „słowa tekstu literackiego narzucają ściśle określony kierunek, działają sugestywnie". A co wychowanie narodowe? Gdzie literatura narodowa, któraby zmiotła ze scen polskich „Rodziny"? Wykuwa się w nurtach serc polskich. „Mgła polska, która się wciska do mózgów i sprawia, że tu najlepiej na ziemi", to „złudzenie", panowie Słonimscy! „Ta ziemia należy do ludzi silnych" — do narodu polskiego!

Jan Bielatowicz.

nie twardsze lub też zupełnie miękkie. Przyczynia się do tego także stosowanie w niektórych pracach linorytu.

Wspominałem tu o zaletach technicznych. Są one bezsprzecznie podstawą i głównym czynnikiem w twórczości graficznej, od nich zależy cały wynik i artystyczna wartość grafiki. Ale czyż nie gra tu dużej roli także zdolność i inwencja artysty, dobra kompozycja i rysunek. Niewątpliwie i dlatego drzeworyty Lama, który przecież jest dobrym malarzem i wszystkie te warunki w dużej mierze posiada, są skończonemi dziełami sztuki.

rec. t.

Pejzaże Stanisława Grabowskiego w IKSie

Wystawa Grabowskiego jest bardzo ciekawa. Nie ogląda się jej obojętnie. Odrazu zaciekawia nas ustosunkowanie artysty do przedmiotu i istota jego sztuki, mniej zaś rzeczy codziennego użytku (że się tak wyrażę), a więc jego sposób komponowania, forma czy barwa.

Dlatego może obchodzi nas głównie istota sztuki Grabowskiego, że jest ona istotą obecnego, współczesnego malarstwa. Na czem zaś ona polega? Polega na czysto uczuciowem nastawieniu i ustosunkowaniu się malarza do rzeczywistości malowanej. Jest to więc w zasadzie impresjonizm. Ale impresjonizm ze specjalnym odcieniem ironji, przez którą patrzy i pod punktem widzenia której tworzy artysta. Wziąwszy zaś pod uwagę całość tej sztuki, to widzimy, że w gruncie rzeczy i ostatecznie nie jest niczem innym, jak bardzo dowolnie pojętym idealizmem. Każdy malarz maluje na swój indywidualny sposób. Nie chcę tu wymieniać francuskich malarzy, którzy tak malują: każdy zwiedzający wystawę Grabowskiego wymienia kilkanaście tych, na których niby on wzoruje się. Grabowski maluje jak oni, ale jak każdy z nich (jak już wyżej powiedziałem) na swój jednak sposób i według swoich zapatrywań.

Pejzaże jego oddają niezrównanie nastrój południowego krajobrazu. Bogactwo jego motywów daje dużo podniet artystycznych. Białe domki amfiteatralnie rozrzucone na zielonych stokach, białe drogi, drzewa jako stafaże, malowane z niesłychaną lekkością niewielu pociągnięciami pendzla, są w efekcie bardzo przyjemne, nieskomplikowane i przemawiają do widza. Każdy obraz przedstawia zwartą całość kompozycyjną i kolorystyczną, każdy odczuwa głęboko i oddaje efekty słońca igrającego na morzu, drzewach etc. lub też ciemne, niemal jednobarwne ale jak wyraziste w swem odczuciu, jak np. w „Pejzażu angielskim". Skala możliwości Grabowskiego jest duża, potrafi on również namalować pejzaż farbami silnemi, operując szerokiemi płaszczyznami, stosując dość ryzykowne połączenia barwne, a jednak tworzące bardzo dobrą całość. Wystawa Grabowskiego otworzyła nam oczy na nowe postulaty malarstwa współczesnego.

rec. t.

Twórczość Piotra Maszyńskiego

Laureata Państwowej Nagrody Muzycznej

Tegoroczna Państwowa Nagroda Muzyczna została przyznana Piotrowi Maszyńskiemu za jego wielce doniosłą pracę artystyczno-społeczną na polu pieśniastwa polskiego, oraz za jego działalność kompozytorską i pedagogiczną. Lata dziecinne laureata przypadły na smutny okres czasów prześladowań rosyjskich po pamiętnem powstaniu 1863 roku. Dopiero po ukończeniu klasycznego gimnazjum zabrał się Maszyński do swych studjów muzycznych. Profesorami jego byli: Aleksander Michałowski oraz Zygmunt Noskowski, ówczesny kapelmistrz i dyrygent chóru „Bodan" w Konstancji. Pobyt Maszyńskiego w Konstancji był niewątpliwie decydującym czynnikiem w dalszej jego muzycznej działalności. Zapisawszy się na członka chóru już w III-cim roku został on mianowany wicedyrygentem „Bodanu".

W r. 1880 wrócił Maszyński do Polski, mając jedną myśl przewodnią do wprowadzenia w życie: dyrygować chórem i pisać dla chóru. Idea ta została w pełni urzeczywistniona wtedy, gdy, po wielu mozolnych staraniach i trudach, grono miłośników śpiewu chóralnego założyło w Warszawie „Lutnię" w r. 1866, powołując na kierownicze stanowisko Piotra Maszyńskiego. Jednocześnie został Maszyński profesorem konserwatorjum i dyrygentem chóru katedralnego, — wreszcie kierownikiem szkoły chórów przy teatrach warszawskich. Ponieważ jednak nie było repertuaru chórowego, należało zatem go stworzyć. Dyrektor Maszyński zabrał się gorliwie do pisania odpowiednich śpiewników oraz do tłumaczenia tekstów z obcych języków, stwarzając tem nieistniejącą przedtem literaturę muzyczną.

Wkrótce wyszły z druku „Początki śpiewu", „Ćwiczenia wstępne" oraz „Polski śpiewnik szkolny", w którym autor kładzie fundamenty umuzykalnienia przyszłych śpiewaków. Z biegiem czasu powstały liczne utwory chóralne Maszyńskiego oraz większe kompozycje, jak „Warjacje na kwartet smyczkowy", „Sonata", „Kantata na cześć H. Sienkiewicza", muzyka do dramatu Grabowskiego „Boruta", „Kantata ku czci Chopina", wreszcie „Jasełka" do słów Konopnickiej, „Cyganie" do słów Zmorskiego, oraz szereg utworów orkiestrowych (mazury i „Elegja", poemat symfoniczny). Osobny dział stanowią solowe pieśni Maszyńskiego oraz pięknie pomyślane duety i tercety żeńskie. Jednym z ostatnich dzieł kompozytora jest „Ziemia", utwór na chór mieszany z orkiestrą.

Całość twórczości Piotra Maszyńskiego cechowały zawsze gorące umiłowanie pieśni oraz zapał do szerzenia zamiłowania w kierunku rozwoju rodzimego pieśniarstwa. Potężną dźwignią jego artystycznej działalności były: wielki patrjotyzm, pełne zaparcie się siebie, niezmożona siła ducha oraz pogoda, którą zawsze jednał sobie najbardziej nawet wrogie Polsce jednostki, rządzące w czasach moskiewskich prześladowań słowa i pieśni polskiej.

Marjan Łebkowski.



Drzeworyt Marjana Ziółkowskiego

Z KRAKOWA

W lutym rozegrały się dwie batalje o Sienkiewicza: jedna państwowo-żydowska („zboyała"), zorganizowana przez „Litart", miała na celu przez zaproszenie całej tłuszczy żydowskich krytyków i kosmopolityków wszelkich odcieni ośmieszyć do gruntu jednego z największych duchów narodowych — nie sposobem naukowym oczywiście, ale znaną metodą modnego rewizjonizmu. Udało się panom z „Litartu" pozyskać prof. Chrzanowskiego, który w najlepszej wierze zebranie zagaił. Kiedy na trybunie pojawił się znany autor „Kordjana i chama" i „komunizujący" L. Kruczkowski, entuzjastycznie oklaskiwany przez wiadome sfery, bardziej gorąca część młodzieży akademickiej obrzuciła go zgniłemi jajami, wznosząc okrzyki przeciw zajmowaniu się Żydów i komunistów Sienkiewiczem.

Kapitalną odpowiedzią „państwowcom" i ich nadwornej figurze naukowej p. Górce była impreza dyskusyjna o Sienkiewiczu, zorganizowana przez Koła Polonistów i Historyków U. J. Ignorancję i ciasnotę naukową wykazali p. Górce zwłaszcza prof. prof. Konopczyński, gen. Kukiel i Pigoń. Słusznie też zamknął zebranie prof. Konopczyński ironiczną parafrazą: „pręży i poci się Górka, zostaje coś nakształt szczurka". „Sienkiewicz znał więcej źródeł, niż doc. Górka" stwierdził gen. Kukiel.

Parlament dyskusyjny o „Rodzinie" Słonimskiego, zorg. przez Przyjaciół Dram. Klas (orjentacje jak „Litart") wykazał, że wszyscy mówcy od p. posła BB Pochmarskiego aż do żydków - korespondentów „Nowego Dziennika" mają zawsze i stale przed oczami „młodzież endecką", „niezdrowy nacjonalizm", t. zw. (oni to stale dodają) „rewolucję narodową" i wszelkie kwestje kończą zdrową nadzieją, że może jeszcze to nie jutro.

Inauguracja Legjonu Młodych w kolorze czerwonym (wprawdzie przez kalkę, jako t. zw. powtórki), jak i 4-lecie tejże organizacji odbyło się przy udziale tłumnych kilkudziesięciu widzów, no i co stokroć ważniejsze w sposób, że następny mówca zbijał poprzednika (panowie, role rozdawać przytomnie!)

Iwan Bunin.

Z „wierszy wybranych“

Śmierć.

W kwietniowe gorące południe, po żwirze
Drogi wśród sadów kwitnących,
Podążał mnich, wysoki Franciszkanin
Do monasteru nad sinem morzem południa.
Duszące zapachem glicynje
I róże wisiały na krzakach —
Na marmurze ślizgały się plamy światła.
„Kto tam?" — zapytał furtjan z za bramy.
— „Brat w Chrystusie" — odrzekł Franciszkanin.
„Kogo wam trzeba?" — „Brata Gabrjela",
„Ninie zajęty — pisze Zmartwychwstanie".
Wtedy mnich zerwał ogrodową różę,
Rzucił w dziedziniec — i z niesytym wzrokiem
Zawrócił. A róża z krzaku swego
Rozsypała się czarnym na marmur popiołem.

Gwiazda polarna.

Swój dziki schron wśród śniegów i lodu
Stawiła Śmierć. Nad schronem — noc półroczna
I Gwiazda Polarna wśród nieba ogrodu
Goreje w bezruchu bladością uroczna.

Spojrzyj na mglisty zwid. To Śmierć
Przy schronie swym siedząca, wzrok
Bezwidny rzuciła w gwiezdną perć
I ciszę gwiazdy wiecznie pieści mrok.

Syrjusz.

Gdzie ty, gwiazdo moja pamiętna,
Wieńcu urody niebieskiej,
Nieskończonego gdzie czaru twe piętna
W śnieżystem księżyca królestwie?

Gdzie ty, tułaczko ponocna
Po równiach świetlistych i nagich,
Nadziei, myślom przemocna
Radości wyśnionej sagi?

Płoń, mień się siłą stukwiecia,
Gwiazdo, co nigdy nie zgaśniesz
I nad mą mogiłą przyświecaj,
Gdy Bóg zapomniał na zawsze!

Z rosyjskiego przełożył
Jan Bielatowicz.

Klejnoty - czy grosze?

Pani Tola i pani Mimi. Przed każdą „mała czarna". Zapach francuskich perfum i błysk brylantów pierścionkowych.

Potem przychodzi jeszcze pani Lola, Dada, Irma...

Pani Giga spóźni się, bo wczorajszy bridge skończył się długo po północy.

Grono powiększa się co piętnaście minut.

Wszystkie piją „małą czarną" (ach, ta linja!). Zresztą tylko dlatego, że w cukierni trzeba wogóle coś zamówić. Nie przyszły tu przecież pić ani jeść.

— Cztery ściany mieszkania — to dla mnie straszna rzecz, mówi pani Ina.

— A ja już teraz poprostu nie mogę żyć bez cukierni.

— Śliczną ma pani sukienkę — doskonale wypadła linja ramion. Ten fason przynajmniej wyszczupla pani biodra...

— Znowu nowy kapelusz! Choć właściwie słusznie, bo w tamtym było pani bardzo brzydko...

— Dlaczego zmieniła pani fryzurę — przy swojej szerokiej twarzy nie powinna pani tak gładko zaczesywać włosów...

Siedzą już godzinę i ciągle tak nawzajem „szczypią się" delikatnie słowami. One wszystkie nienawidzą się. Każda z nich radaby drugiej „przypiąć łatkę".

Wreszcie tematy fryzur i garderoby wyczerpały się. Piękne panie zaczynają rozglądać się po lokalu. Towarzystwo nieciekawe — wiadomo, przedpołudniem — starzy emeryci, albo „zielone" studenciki. „Sam kwiat" bywa tu popołudniu i wieczorem. Ba! ale wtedy bywają i mężowie...

Jest wybawienie! Zjawia się partner pani Loli od nart i tennisa. Zawołany bywalec cukierniany — opowiada o koniach, krytykuje (obowiązkowo!) ostatnio wystawione obrazy i doskonale orjentuje się w najnowszych posunięciach pani Mody. Umie przynajmniej ocenić, że pani Tola przyszła dziś w ostatniej „kreacji" sezonu zimowego, a maleńka miseczka na głowie pani Dady jest niezaprzeczenie „krzykiem", choć jej mąż powiedział, że ten kolor jest zbyt jaskrawy. Ale przecież on zna się tylko na kodeksach i paragrafach.

— Gdybym nie bywała w cukierni — myśli uradowana komplementem Dada, zapomniałabym że jestem przystojna i że robię wrażenie... W tej chwili rzuciła zalotnes pojrzenie na prawo, na szarozielony mundur rotmistrza. — On ma oczy naprawdę fascynujące. — Tak się świetnie złożyło, że partner Loli od sportów znał tego „uroczego" wojaka, więc sprawa poszła gładko. Po chwili subtelnemu, miękkiemu tenorowi zawtórował bardziej męski bas przy wesołym stoliku — wianku pięknych dam.

Godzina pierwsza, druga...

Wracają do domu.

Po chwili wraca mąż po pracy — na obiad.

Żona, przeżywszy przedpołudniem potrzebną porcję wrażeń, nie ma ochoty rozmawiać, po obiedzie odpoczywa na otomanie, bo o 5 bridge, a wieczorem premjera, a po premjerze może jeszcze jakiś „Kaktus" czy „Dobski".

— Naprawdę taki mam czas zajęty, że już całe dwa dni nie widziałam Haneczki. — Zresztą niania lepiej umie pielęgnować dziecko, niż ja — pociesza się prędko.

— Niech Marynia gotuje według swojego gustu, bo ja teraz muszę dokończyć manicure. Za pół godziny wyjeżdżam na bal.

I tak dzień za dniem — ciągła pogoń, wyścig za wrażeniami, zmianą, rozrywkami.

To nie ich wina. One gonią podświadomie, przekonane, że inne życie jest nieszczęściem i rezygnacją z wszystkiego, co świat daje.

Bo najistotniejszą cechą kobiecej duszy jest sui generis — aktywność — pęd do czynu, do ciągłego przetwarzania, przerabiania swej energji duchowej na coraz to inne składniki wrażeń, przeżyć i uczuć. Możnaby to nazwać poprostu warjacjami i permutacjami psychicznemi (jeśli o duszy godzi się rozprawiać matematycznemi kategorjami).

Każda cecha psychiczna może dać dobre lub złe efekty, zależnie od tego, czy zostanie dobrze pokierowana, czy też spaczona lub wynaturzona.

Te cukierniane piękności duszą się we własnem, dostatnio urządzonem mieszkaniu, bo nie wiedzą, że tam, u siebie, mogą znaleźć codziennie tysiąc drobnych zajęć, które wypełnią pustkę „czterech ścian", ożywią cały dom — przytem oszczędzą ciągłego spotykania zazdrosnych i zgryźliwych „przyjaciółek", co całą energję życiową topią w plotkach i flirtach.

Jaka jest wartość społeczna tych istot?

Ależ z takim trybem życia są raczej balastem społecznym, bo tamują racjonalny, zdrowy byt małżeństwa i rodziny.

Jakaż na to rada? Przecież w każdej dziedzinie — czy duchowej, czy materjalnej — nieprocentujący się balast przynosi szkody i straty. Tego musimy unikać, skoro chcemy być społeczeństwem „awansującem".

Rzucam dwie myśli:

„Wykoszlawione" żony mogą najłatwiej „naprostować" ich właśni mężowie przez rozumne i taktowne wyjaśnienie im głupoty takiego pustego życia.

Dziewczęta zaś — jutrzejsze żony — trzeba stanowczo więcej „uświadamiać społecznie", wykorzeniać ich samolubstwo i zaznajamiać z obowiązkami kobiety w małżeństwie.

Bo aktywność psychiki kobiecej — to złoża najcenniejszych kruszców miłości, ofiarności i poświęceń, a szkoda ich wymieniać na marne miedziaki knajpowych rozrywek.

Z. K.

Pamiętna rocznica



Dr. Maksymiljan Ziółkowski

Minęło już w styczniu bieżącego roku 71 lat od wybuchu powstania styczniowego. Warto choć kilka słów rocznicy tej poświęcić.

Wielkopolska, dławiona silną w owych czasach pruską prawicą, czuła łączność z całym polskim krajem, z uporem świętym broniąc dorobku narodowego. Nic dziwnego więc, że na pierwszą wieść o wybuchu powstania w t. zw. Kongresówce zawrzało w ziemi wielkopolskiej. Zawrzało przedewszystkiem w zbiorowiskach gorącej, patrjotycznej młodzieży gimnazjalnej, wychowującej się tajnie w Towarzystwie Narodowem.

Najbardziej może aktywne i ruchliwe pod względem narodowego uświadamiania się wzajemnego było Trzemeszno, dla którego, liczącego ówcześnie 2000 mieszkańców, grupa 500 gimnazjastów była nietylko mile widziana z powodów gospodarczych, ale stanowiła ważki czynnik polityczny w uświadamianiu narodowem. Towarzystwo Narodowe w Trzemesznie, noszące imię Zana, pracowało nietylko wśród gimnazjastów, ale dzięki ruchliwości kilku młodych ludzi promieniowało na całą ludność miasteczka. Obserwując to gazety niemieckie alarmowały, że gimnazjum jest „gniazdem idej rewolucyjnych".

Nic dziwnego, że w takiem „gnieździe" na pierwszą wieść o powstaniu zawrzało jak w ulu. Komitet rządu narodowego z Gniezna przysłał rozkaz do Trzemeszna, by tam przygotowano z gimnazjastów kompanję do wymarszu na walkę z Moskalem. Zajęli się tem gimnazjaści Aleksy Szałkowski i Władysław Chotkowski. Zaczęły się gorączkowe przygotowania.

Dwaj inwalidzi — pruscy policjanci nie mogli sobie dać rady; przysłano więc do Trzemeszna majora z Gniezna na czele dwóch kompanij piechoty. To nic nie pomogło. Przygotowania szły w szybkiem tempie, a zakupywaną broń chowano w obszernym kominie w alumnacie, w budynku dawnego gimnazjum, zbudowanego przez ks. opata Kosmowskiego.

Dnia 28 lutego 60 gimnazjastów wymknęło się cichaczem z miasta pod wieś Miały, skąd podwodami udali się do Ruchocina do kompanji gnieźnieńsko-mogileńskiej. Z biorących w tej wyprawie udział żyje do dzisiaj w Poznaniu przy ul. Niegolewskich dr. Maksymiljan Ziółkowski. Staruszek 90-letni chętnie dawne czasy wspomina, z dużym krytycyzmem odnosząc się do tego nieprzygotowanego dostatecznie porywu zbrojnego.

Z uśmiechem wspomina, jak to zaopatrzeni w żywność na dzień, uzbrojeni poczęści w toporki a czasami we flinty staroświeckie, szli lasami do obozu zdolnego a ofiarnego wielkopolanina Mielęckiego, rozłożonego pod Bieniszewem w Kaźmirskich lasach. Trzemeszniaków prowadził Zygmunt Malczewski, a na czele całej kompanji gnieźnieńsko-mogileńskiej, liczącej ponad 300 ludzi, stał Garczyński, który później, jak się okazało, nie zdobył sobie wawrzynu sławy.

Pod Bieniszewem doszło na drugi dzień rano do utarczki, a Garczyński miast słuchać rozkazów Mielęckiego i z nim ściśle współdziałać, począł się ze swoim oddziałem wycofywać. Malczewski opuścił go przeto i poddawszy się całkowicie pod rozkazy dzielnego Mielęckiego, poprowadził swoich trzemeszniaków w bój. Było to już pod Dobrosołowem. Dwunastu uczniów trzemeszeńskiego gimnazjum zginęło wtedy od kul moskiewskich lub od szabel kozackich.

„Dziwna to była walka — wspomina z rozrzewnieniem sędziwy weteran — kiedy to my w grupce maleńkiej z toporkami w rękach poprzez bagna i łąki atakowaliśmy wieś na wzgórzu, gdzie ukryta była sotnia kozaków."

Na to się porywać — trzeba było naprawdę być młodym.

Oddziałek trzemeszniaków rozbity został tam pod Dobrosołowem i Mieczownicą. Jedni poszli na dalszą tułaczkę partyzancką w lasach, znacząc gęsto trupami pola walk powstańczych. Pod Ignacewem naprzykład w dniu 9 czerwca zginął śmiercią bohaterską wspomniany już Aleksy Szałkowski, a był to syn biednej wdowy — jedyna jej pociecha i nadzieja w życiu. Reszta polami i lasami, broniąc się najpierw przed napadającymi kozakami, a później przed kolonistami niemieckimi, przybyła do nadgranicznego Orchowa, gdzie ich gościnnie przyjęła właścicielka majątku p. Moraczewska, matka znanego dzisiaj działacza socjalistycznego.

Gdy po trzech dniach nieobecności gimnazjaści wrócili do Trzemeszna w liczbie mocno uszczuplonej, zastali już gimnazjum zamknięte. Rozpoczęły się awantury, śledztwo, badania... Trzemeszniaków nie chciano przyjąć w pruskiem państwie do żadnego gimnazjum, oświadczając im po niemiecku, że „dla kosynierów niema miejsca".



Alumnat ks. opata Kosmowskiego dla ubogiej a szlachetnie urodzonej dziatwy, w którym powstańcy ukrywali broń.

Dr. Maksymiljan Ziółkowski po długich staraniach wraz ze 60-cioma gimnazjastami z Ostrowa, wyrzuconymi za śpiewanie „Boże coś Polskę", dostał się do gimnazjum w Śremie i tam uzyskał świadectwo dojrzałości.

Studja lekarskie odbył we Wrocławiu i Gryfji, zdając tu w 1873 r. egzamin lekarski. Praktykował potem w Łopiszewie pod Ryczywołem, w Rogoźnie (20 lat), w Poznaniu (10 lat), poczem po przerwie, spowodowanej chorobą, praktykował w Poniecu i wreszcie ponownie w Poznaniu. W czasie ostatniej polskiej wojny stawił się do dyspozycji władz wojskowych i pracował przez rok w szpitalu wojskowym.

Dzisiaj zgrzybiały wiekiem (ur. w r. 1844), doświadczony latami, wspomina dawne czasy z uśmiechem wyrozumienia i... z rzewną czcią.

B. Merło.

Z ziemi pałuckiej

Biskup Jakób ze Żnina
Klemens Janicki
ks. Jakób Wujek
Erazm Skrzetuski
Jan Śniadecki
Jędrzej Śniadecki
Karol Libelt
Aleksander Guttry

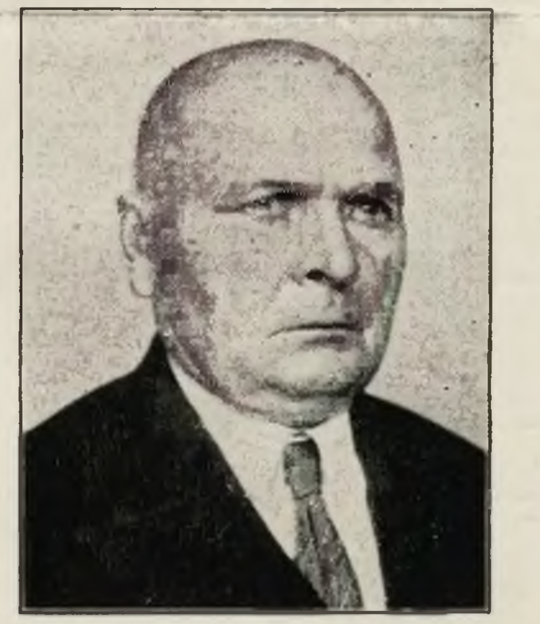
oto nieblaknące gwiazdy ziemi pałuckiej. Ta piaszczysta gleba od zarania naszych dziejów wyrzucać zaczęła niezwykłej miary duchy i serca.

Z burzliwej doby pierwszych Piastów wyłaniają się kontury puszcz pałuckich i ich grodów. Majaczeje Panigrodz, Kcynia, Gołańcz i Łekno, prastara stolica, którą w XII w. za siedlisko pierwszego opactwa Cystersów obiera Zbilut Pałuka, członek rodu Toporczyków, którzy za Władysława Hermana przy pośrednictwie Sieciecha szmat ziemi tu posiedli i nazwę od smugów tych wzięli. Prędzej od nich usadowili się tu Poraje-Różyce, Czesi — familja św. Wojciecha. Przez Wągród, dzisiejszy Wągrówiec — stolicę Pałuk szedł św. Wojciech nawracać Prusaków. Jedynie tu było przejście suche i dogodne, nic więc dziwnego, że tędy prowadził przez Straszewo-Młyn i Wągród trakt poprzez Wełnę i Noteć na Pomorze.

Ten trakt już w starożytności wyszukali sobie kupcy dla swych wędrówek nad morze po bursztyn. Tędy też książęta i królowie polscy wiedli swe wojska na Prusaków, aż pod Szczecin. Często gościli ich Cystersi w murach swego bogatego klasztoru.

Musi ta bogata w przeszłość ziemia pałucka stać się dla każdego Pałuczanina celem troski i zainteresowania. Trzeba ją wyrwać z mgieł, ubrać w tęczę, uwiłą z siedmiu ofiar: poświęcenia, miłości, zachwytu, czułości, z hartu, stałości i niezłomności, nakładanych dziedzictwem z pokolenia na pokolenie przez Akademickie Koło Pałuczan.

W. M.



Władysław Marcinkowski
Samorodny talent z gleby kujawskiej
(patrz nr. 3 „Głosu")

Przyjedzie Pon Jezus z chorągiewką

Rzecz, którą dajemy poniżej, stanowi jeden z rozdziałów powieści z przedwojennego życia ludu kujawskiego, nad którą pracuje obecnie Wł. Marcinkowski. Jako część całości, rozdział ten nie może, oczywiście, stać się podstawą, na której możnaby wydać taką czy inną ocenę tego samorodnego talentu. Niemniej jednak jego właściwości formalne i techniczne, tudzież samo tworzywo pozwolą czytelnikowi wyrobić sobie ogólne chociażby wyobrażenie o gatunku pisarskim Marcinkowskiego. Szczególną uwagę pragnęlibyśmy zwrócić na to, iż autorowi chodzi o odzwierciedlenie stanów psychicznych naszego ludu, jego konfliktów wewnętrznych, tęsknot i niepokojów, wywołanych ideą Polski, która dla jednych posiadała żywą, emocjonalną treść, a dla drugich, otumanionych potęgę cesarskich Niemiec, była tylko pustym, obojętnym dźwiękiem. Język pozostawiamy taki, jaki jest w oryginale, dla właściwości literatury rodzimej, wolnej od wszelkiej stylizacji i „literackości".

„Popatrzcie jeno, co to się nie wyrabia", mówił w Wielki Piątek rano stary Kij do swego przyjaciela włódarza, wskazując na żywą krzątaninę kobiet i dziewuch we wsi.

Bo też wszystko co żyje dziś od samego rana krząta się i pracuje. Chłodny poranek, co się ledwo zasrebrzył, zastał już wszystkie dziewuchy na nogach. Już jedna jak druga, powystawiały każda swe ciężkie drzwi wczorajszym żurem — a może i nie żurem, całkowicie zamałowane. Z pod zagiętych rękawów czerwienią się jędrne, zdrowe ramiona, a ręce uzbrojone w spory wiecheć perzu, lub grochowiny, z dokładnością najsprawniejszego masarzysty, szorują po nierównych berwionach niezgrabnych sosnowych drzwi. Że robocie tej oddane są z całą szczerością, to widać po ich zgrabnych, pełnych wdzięku ruchach, wesołych, dookoła wodzących oczach i kształtnych, ani na chwilę niezamykających się pyzatych buziach, które w zdrowym śmiechu pobłyskują białemi jak perły zębami.

Wyszorowane drzwi stawiają pod ścianę chałupy, opłukują lodowato zimną wodą, wycierają silnie ścierami, a kiedy już brudu ni śladu, każda z triumfem na dzieło swych rąk spogląda.

Tu i owdzie znowu słychać stuk siekier. To chłopi, zajęci rąbaniem drzewa, walą raźno siekierami, mocując się z jakimś zawiłym pniem wierzbowym lub czemś podobnem.

Raz po raz wyleci jakaś zaperzona kobieta, z zakasanemi pod same łokcie, ciastem ubabranemi rękami i energicznym głosem daje „swojemu" pewne, praktyczne wskazania, co do rąbania drew.

„Jeno nie rąb mi za cienko, tylko ładne, grube, równe kawały!... ...Patrzcie ludzie, jak on to rąbie, jedne cienkie, jedne grube, jak by piewszy roz mioł siekire w łapie!..."

„Oh, co jo z takim drzewem poczne, namięci inna, czy to można przy tem chleb, albo placki — placki naturalnie silnym akcentem — upiec!..."

„Eh, — zaskrzekożyła inna... do chleba, do placków to już może być drzewo jakie bądź, ale jo musze „mojego" opumnąć, bo jo chce pore babów upiec!... To już musi być drzewo akuratne!..."

Wszystko, co żywe, wesoło pracuje... Jeno chłopaki śpią troche przydługo — po wczorajszem uganianiu się po wsi...

Ten pełen sielskiego życia wesoły rozgwar podziałał widocznie dodatnio na dwuch starców, którzy stojąc zdala obserwują ten chociaż pełen prostoty, lecz miły nastrojowy obrazek.

„Patrzcie jeno — mówi, wciągając potężny niuch tabaki, Kij, — kiedy tak się rozwoży, to doprawdy trzeba się na tym zastanowić... Z jakim to strachem, przez długie lata, ludziska oczekiwali tej Wielkanocy, a dziś, kiedy właśnie ten czas nadchodzi, to robią tak, jakby ta troska o chleb i placki była silniejszą nad te wszystkie przepowiednie i grożące niebezpieczeństwa!"

„Eh, mylisz się Maciek", — odrzecze po głębszem namyśleniu się włódarz — nie chleb i placki są im w głowie lecz — Wielkanoc! ...Ta Wielkanoc mo w sobie tyle siły i mocy, że każdego człowieka przyciągo do siebie... Każdy człowiek, choćby najgorszy, kiedy nadchodzi Wielkanoc, zawsze bydzie się liczył ze swojem sumieniem i jakiś przebłysk lepszej nadziei rodzi mu się w duszy..."

„Pewnie, że mocie racją... ale czy myślicie, że te wszystkie proroctwa o tej Wielkanocy to bzdury?"

„Eh, żeś stary a głupi, przeci takich proroctw nimożesz brać tak dosłownie... Jo ciebie rozumie, ty byś chcioł, żeby dziś była Polska, nieprawda?"

„Oj to to, a tu człowiek czeko, starzeje się a tu nic i nic, jeno ta przeklęto nimczyzna się panoszy."

„A widzisz, tyś w gorący wodzie kąpany, a tu nom potrzeba wytrwałości, rozumu, pracy nad sobą, nad potomstwem.... Czy ty sobie przedstawiosz, że my dziś moglibym takim trzem potęgom dać rade? Człowieku zastanów się!"

„No, jak tak będziemy godać, i tak rozumować a nic nie przedsięweźmiem, to nigdy Polski nie będzie! Bo kiedy ta Polska powstanie, jak my będziemy rozumować że nie domy rady."

„Wtenczos Polska powstanie, kiedy naszym wysiłkom pobłogosławi Bóg."

„I jo tak samo myślę i w pomoc Boską nie wątpię. Jednak, kiedy się tak przyglądam, jak to wszystko tak haruje, tak bezmyślnie się staro o ten byt doczesny, aby na te święta jeno swojemu cielsku dogodzić, a nie myśli o sprawach wyższych, to wątpię czy z tego coś dobrego wyrośnie."

„Eh, głupiś Maciek, czy nie widzisz, że oni dziś w tej chwili budują Polskę?"

„Jak to?"

„Pytosz się jak to, a czy to niewidzisz, że kiedy my oba zabawiomy się taką sobie zwykłą pogawędką, to one pracują i starają się o to, aby ta Wielkanoc, była rzeczywiście taką jaką ojcowie i dziadowie nasi nam ją przekazali, a więc czysto polską Wielkanocą! Czy tego nie rozumisz?"

Kij, nic nie mówiąc, jakby zawstydzony, pokiwał głową i popatrzył na wieś, gdzie dziewu-

Z. Sznajder.

Bratniacka dintojra

(Targowisko próżności)

„Mnóstwo ludzi, potrzebujących pieniędzy, bierze udział w rządach. Wymagać, by wszyscy byli nieposzlakowanie uczciwi, byłoby to żądać zbyt wiele od natury ludzkiej.“
(Anatol France: „Trzcinowy manekin“.)

OKRUCIEŃSTWO NIEBIOS.

Tak się przypadkowo stało, że dożyłem wyborów proporcjonalnych.

Dużo było przygotowań, mówcy ostrzyli języki, a co jurniejsza młodzież chędożyła laski i kasteiy. Co drugi student nosił świecę dymną, a co druga studentka miała w torebce na znak bojowej gotowości — chęć zwykłą.

Najwyższa władza dla studentów na ziemi zrobiła niespodziankę i zabroniła obmazania się ideologicznego na zebraniach, wychodząc z tego słusznego założenia, że Polacy, a zwłaszcza Wszech-Polacy, to niebezpieczny żywioł i z byle powodu biorą się i piorą się. T. zn., że biorą się do karabel i piorą, ale nie bieliznę.

Podobne zarządzenie nosi wszelkie cechy okrucieństwa. No, bo jakże: bieda w kraju, stypendja z nieba nie spadają, dochodzi do tego, że nie ma pieniędzy nawet na to, aby pójść przekonać się, że „Pieniądz nie jest wszystkiem“, a tu zebrania sprawozdawczego niema. W cieple sobie trochę posiedzieć, pośmiać się i posłuchać, trochę tam czego lub coś uchwalić i — wszystko za darmo. A kino czy cyrk normalnie to trochę kosztuje, choćby 49 gr.

NAS — TROJE I NASTROJE.

Zatem tylko ulotki. Wszystkie partje zasadniczo oczywiście apolityczne. Wszystkie chcą dobra biednych studentów, wszystkie domagają się sprawiedliwości i prawdy. Wszystkie za obniżeniem, żadne za podwyższeniem.

Nr. 1 (św. Marcin 65 I.) „Kto głosuje na jedynkę, będzie miał kiełbasę i szynkę“. Nr. 2 (N. D. A. pokój kol. Sołtysika) — wnosi hasła chrześcijańskiego miłosierdzia. Nr 3 (Noskowskiego 6) głosi „Arbeit für Staat“.

Żydzi, niestety, narazie własnej listy nie wystawili, bo obawiali się, aby ich nie wystawili, ale tyłem i to do słońca.

Atmosfera przedwyborcza była nieprzyjemna: znowu ktoś, kogoś, gdzieś, czemś — pobił, znieważył, obraził. Homo sapiens L., rząd z ssaków naczelnych (Primates), podrząd Catarrhini — wąskonose znów stoczył się na dno. Bili w rękawiczkach i bez rękawiczek. Für die Wahrheit!



Wybory, wybory, wybory...

Poraz pierwszy w bieżącym roku akademickim odbywały się wybory do władz stowarzyszeń, liczących ponad d w u s t u członków, systemem proporcjonalnym. Najbardziej emocjonująca w przebiegu była batalja wyborcza do władz Bratniej Pomocy U. P.

Powyższe „zestawienie“ fotograficzne ujmuje fragmenty z samego dnia głosowania.

Wyborcy, wchodzą do Collegium Minus, legitymowani przez portjera u wejścia (zdjęcie lewe od dołu). Ogonek (prawe, dół) i tłum, (lewe, góra) czekających cierpliwie na akt wyborczy. Komisja wyborcza urzęduje (prawe, góra).

Wogóle w wyborach była stosowana przykra zasada: „Ote toi que je m'y mett!“ — Wynoś się, abym ja tam wlazł. I krzywdzono biednych Jasiów. Syt zwycięstw i mołojeckiej sławy Caezar Marjan I-szy ustąpił z tronu prezesów. Biedny, pozostały mu teraz tylko ostrogi i wąsiki à la Hitler. Najmilszy ze zboczeńców Wilde twierdził, że są tylko dwa rodzaje ludzi czarujących — ci, co bezwzględnie na wszystkiem się znają i ci, co nie znają się na niczem. Wszyscy znajomi Marjana I zaś twierdzą, że jest to człowiek czarujący. Wolał się usunąć, wiedząc, że „Bratniak“ zaiste jest złem przyzwyczajeniem.

DYKTATURA DWÓCH.

Jest dwóch przemiłych ludzi, którzy wielce mi się podobają, a to: kol. legjonista Adamczyk i p. mgr. Frankowski z powodu ich młodzieńczego humorku. Oboje „sławni“, oboje zdolni i o niezwykle podobnej skali dowcipu. Oboje są sercu memu bliscy, oboje zawsze lubią dużo pisać o samopomocy, głosząc ważność cnót, do których uprawiania nie mieli w swem życiu sposobności. Gdyby to zależało odemnie, mianowałbym ich we dwóch komisarzami Bratniej Pomocy. Zarazby czynsz w N. D. A. spadł do 5 zł miesięcznie, obiady byłyby darmo, a w każdy pierwszy piątek miesiąca każdy członek B. P. dostawałby po 25 zł bezterminowej pożyczki i po cukierku.

REPREZENTANT KOŚCIOŁA WOJUJĄCEGO.

Wielkie było podniecenie wśród t. zw. studentów, gdy przyszedł dzień wyborów. Niestety mniejszość narodowa znów dziwnym trafem uzyskała 5 miejsc w zarządzie. Mówią na ucho, że to dlatego, iż urzędnicy państwowi w ostatniej chwili zdecydowali, że — w myśl tradycji — na żadną inną listę oprócz jedynki głosować nie będą. I stąd wynik taki. Co to znaczy przyzwyczajenie!...

Jedno słuszne w tem wszystkiem: wybór kol. Sołtysika, najlepszego z przyjaciół, który reprezentuje w B. P. obok miłości bliźniego również wiarę i nadzieję. O jakżeż złośliwy jest los! — Dano mu nowoutworzony Wydział Egzekucji (sic!). Ten człowiek z własnej kieszeni będzie płacił za tych, od których będzie musiał coś wyegzekwować. Podobno „Odrodzenie“ wybiło na jego cześć medal „sapere auso“ z jego portretem. (Temu, który ośmielił się być mądrym).

KONGLOMERAT.

Korporanty i endeki znów siedzą w „Bratniaku“. Znowu klika i spisek. Co do kol. Komczyńskiego wiem jedynie, że ma na imię Ludwik. Kol. Poklękowski jest zakonspirowanym przedstawicielem blondynów i niebieskoocznych. Nad Panną Zielińską znęcać się nie mogę, bo jej nie znam. Kol. Kempiński ma poczciwą i roztargnioną minę. Pozatem jest młody, dzielny i zdaje się tańczy fox-trotta. Najdroższy z rewolucyjnych demokratów, mający poparcie u wrogów a nienawiść u przyjaciół, kol. Terlecki jest człowiekiem porządnym i szczupłym. Pozatem patrzy się spodełba i ma wyskubaną lwią czupryne.

Obok tego — z drugiej strony, że tak powiem, — leg. leg. Jahns i Bronowicz. Ktoś powiedział, że leg. Jahns jest nerwowy. Leg. Bronowicz jest osobistością tajemniczą i bliżej nie znaną w przeciwstawieniu do leg. Jahnsa, który jest bardzo zdolny mówca i naprawdę jest na prawie t. zn. że poszedł na prawo czyli, że nie poszedł na lewo, a więc jest prawicowcem. Laissez-faire, laissez-passer.

Praca w B. P. będzie to kwestja wytrzymałości nerwowej. Spokojny jestem o B. P., bo jest w zarządzie Wielki Egzekutor Sołtysik. Miłuj bliźniego!...

Rasizm przeciw Słowiańszczyźnie

prof. KAROLA STOJANOWSKIEGO w Poznaniu

Ukazała się w nakładzie „Głosu“ rewelacyjna w swej treści książka znakomitego znawcy problemu rasowego w Niemczech p. prof. dr. Karola Stojanowskiego n. t. „Rasizm przeciw Słowiańszczyźnie“.

Recenzje książki odkładamy do jednego z najbliższych numerów, dziś ograniczamy się do podania spisu rozdziałów. Oto one: Przyczyny słowiańskich strat, Wyniki wojny światowej, Geneza ruchu rasowo-eugenicznego, Niemiecki ruch nordyczny, Ruch rasowy w świetle nauki, Dążenia społeczne rasistów, Tendencje polityczne ruchu rasowego, Religja nordyczno-germańska, Obosieczność rasizmu, O postawę wobec rasizmu.

W tekście zawiera książka pięć mapek. Szata zewnętrzna bardzo estetyczna. Książka p. prof. Stojanowskiego ukazała się jako numer pierwszy Bibljoteki „Głosu“.

Cena książki 5 zł. Zamawiać można przez konto P. K. O. — 201.110.

Pieśń bojowa

Drukowana w jednym z poprzednich numerów „Pieśń bojowa“ ukazała się w nakładzie „Głosu“.

Pełna rytmiki pieśń silnie akcentuje dynamikę ruchu narodowego.

Cena 75 gr. Zamawiać można przez P. K. O. — 201.110.

Od Administracji

Z powodu strajku drukarzy nie mogliśmy wydać na czas nr. 6 „Głosu“. Wobec tego numer niniejszy ukazuje się w zwiększonej objętości jako 6/7.

Na marginesie

Co to jest wamp?

„Wiadomości Literackie“ starają się, ani na chwilę nie stracić charakteru pisma aktualnego, trzymającego rękę na pulsie bieżących wypadków. Dlatego też poświęciły z pewnością w związku z marcem całą pierwszą stronę opowiastce p. Ireny Krzywickiej (Goldberżanki), ilustrowanej przez p. Janinę Konarską, przedmiotem której jest „sztuka kochania“ kotów. P. Krzywickiej możnaby zarzucić, — chyba że robi to celowo — zbytnie antropomorfizowanie. Cenną natomiast jest niewątpliwie definicja t. zw. „wampa“. P. Krzywicka pisze: „Wobica (kocica) przestała prać jak kobieta z ludu, stała się wampem. Nie pozwoliła mu zajść się od tyłu.“

Aha! Więc teraz już wiemy.

Na pytanie: „co to jest wamp?“ odpowiadajcie bez zająknienia: „Wamp jest to istota, nie pozwalająca się zajść od tyłu.“

---

chy powstawiawszy każda swoje drzwi, dowcipkując zaczęły się wesoło przekomarzać.

„Patrzta, mówi Rogozów Marysia Jagnie drzwi żurem nie oblali, a jednak uszorowała.“

Dziewuchy jakby dopiero Jagnę spostrzegły, dziwując się, wołają: „A wej, doprawdy.“

Jagna, szastając się przy swoich drzwiach, przedrzeźniając gapiące się dziewuchy, woła: „A wej, głupie małpy, myślą, że jo bede gorszą od nich...“

„Szoruj, szoruj, Jagusia, woła Tomkiewiczówna Kasia, za to cię twój Tomek na dyngus pochnącą wodą obleje!...“

„A niech, może że i obleje, a tobie będzie żol!...“

A stara Marysia swą szeroką dłonią uciera poważnie nos i mówi z flegmą: „Niech jeno Jagna się tak Tomkiem nie cieszy, bo on gotów na święta sobie jaką ślągwe z miasta sprowadzić.“

„Dobrze Marysia mówi, słyszałaś Jagna!“

Dalsze dowcipki przerwał głos włódarza:

„Dali dziewuchy wyłazić! Dziewuchy grabie i widły, chłopoki szpodle i bat!“

„Dali bo czas!“

Dziewuchy, kiedy już raz zaczną się przekomarzać, to nie tak łatwo poprzestaną.

Idąc do roboty, uzbrojone w zapowiedziane narzędzia, a i z potężną skibą chleba u gęby, już się na dobre rozjazgotały, więc mełą językami, co się zmieści.

Jagna, nie mogąc być dłużną odpowiedzi, tej która jej odnośnie do Tomka coś przyganiła, więc jedzie po swojemu.

„One bydom my tu Tomkiem przygadywać, a może same by był rade Tomkowi więcej jak jo! A że tam Tomek żuru nie wybijał, to też mo racje! Bo kto widzioł takie głupie brewerje po wsi dokazywać... To dobre dlo smarkatych chłopców, ale nie dlo dorosłych.“

„Ojej, widziła ją — odezwała się swem chłopskiem głosem stara Maryśka — widać, że i Jagna się już tą mimczyzną od Tumka zaraziła...“

„Ady Tomek i tak na nią nie wejży, jeno sobie jaką ślągwe upatrzy — zoboczyta!“ — odezwała się Stasia.

„Pewnie, pewnie, wołają rozbawione dziewuchy, on weźmie takom co to nosi kolczyki... i wate w uszach!...“

Lecz nie tak łatwo Jagne przegadać.

„Czy mimiecko moda czy nie, ale co prowda, to prowda, że to Tomkowi nie pasuje iść między takich żgajków co to mają jeszcze mliko na brodzie, a już się do dziewuchów zalecają!“

Mówiąc to zerknęła w strone Nastki, która dziś idzie na osobności niezwykle osowiała.

Starej Maryśce, że to Nastke lubiła, zrobiło jej się żal, więc odpaliła zaraz z miejsca:

„Nieprzyganiaj Nastce i innem dziewuchom i nie wychwolej Tumka.“

„A czy to jo go chwote?!“

„No czy nie — odkrzyknie Maryśka. — Czy to się z tem nie cieszysz, że on wczoraj żuru nie wybijoł?“

„Bo też mioł prowde!“

„Hale, prowde, prowde! A jak by tak wszyscy mówili jak ty, a robili tak jak ten natrząśnięty Tumek, to by dopiero ta nasza Wielkanoc wyglądała.“

„A wej widziła głupiom Marysie, jak ona się to mądruje!“

„A bo prawda, — jedzie już cała zaperzona Marysia — tego Tumka tak tam te mimcy ogłupili, że się teroz wstydzi tego, co nom nasze dziady, pradziady ostawili i co nom nasza polsko wiara nakazuje!“

„Słyszołeś Maciek“ — rzekł włódarz do Kija.

„Dyć słysze“ — odrzekł zadumany Kij.

A Maryśka już cała rozindyczona ciągnie dalej:

„Że ten Tumek jesta taki głupi to się wcale nie dziwuje, bo poszedł między mimców i tam go troche pomusztrowali, to on myśli, że już jest coś lepszego od drugich, — wreszcie on nie jest żoden Kujawiok. Ale tako małpa jak ty, to byś się mogła wstydzić takie głupstwa wygadywać. Jo nie wiem po co to byłaś u św. spowiedzi, kiedy teroz wygadujesz na swoją polską wiare!... Bo jeśli mówisz, że wybijanie żuru to głupstwo, to tak samo i święconka i dyngus to tyż głupstwo co?!“

„Pewnie, pewnie... Marysia mo racją, wołają oburzone dziewuchy, którym na wspomnienie święconki i dyngusu zrobiło się miło i idzie ślina do gęby... Jak ona śmi takie brewerje wygadywać...“

Lecz Jagne nie tak łatwo zbić z tropu, bo widocznie nie jedno już od Tomka słyszała, i chciała się swemi nabytemi wiadomościami pochelpić i swoją wyższość okazać, więc szczerząc zęby śmieje się ironicznie.

„Bodeśla wy głupie, czy to święconka i dyngus, mo coś do wiary?! To som jeno takie pogańskie zwyczaje, nic więcy!“

„Ooo, tako staro i głupio — dziwią się oburzone dziewuchy — co ona to wygaduje!“

A Maryśka stała chwile jak osłupiona, nie mogąc głosu wydobyć. Wreszcie zbliżyła się z zaciśniętemi pięściami do Jagny i cała się trzęsąc woła:

„Ty sama nie wiesz co mówisz, szczekosz jak pies, co ci ślina do gęby przyniesie!“ — Odwróciła się z pogardą od Jagny i rzekła w stronę dziewczyn: „Dej ta jej spokój, bo jak pismo święte mówi... Przyjedzie do nos Pan Jezus z chorągiewką!...“

Na jej pooranej, ogorzałej twarzy pojawiły się jakieś gorące wypieki. A jakiś szczególny żar świętego zadowolenia z spełnionego obowiązku bił z twarzy tego dziecka pracy, tej dziewki zaciężnej, która, może bez głębszego zastanowienia się, wypowiedziała te ostatnie symboliczne słowa, ale w nabożnem przekonaniu, że muszą to być słowa bardzo wielkie i święte, słowa, które najwyraźniej przemówią, — do takich jak i ona — prostych serc dziewczęcych...

Po dziewuchach powiał jakby jakiś szelest powabny, bo spoglądając jedna na drugą szepcą: „Przyjedzie do nos Pon Jezus z chorągiewką!“

„Mosz rację Marysia, przywtórzył i stary Kij. Przyjedzie do nos Pon Jezus z chorągiewką!... I to niezadługo!... Za te słowa warto cię uściskać dziewucho!...“ .

. . . .

Dziewuchy życzliwie otoczyły Marysie, a Jagna, zamknięta w sobie, usunęła się w kąt.

. . . .

...A jednak dziewuchy stwierdziły, że Jagna płacze...

Władysław Marcinkowski

ECHA KARNAWAŁU

BAL

Karnawał dobiegł końca. Długo jeszcze jednak będą się w myślach błąkać melodje tang i przebojów. Długo jeszcze człowiek będzie w pamięci szeregował poznane twarze, analizował przeżyte wrażenia. — Jednem słowem dumał i wspominał.

Moje wspomnienia karnawałowe wiążą się z dorocznym balem młodych prawników. Zazębiają się silnie o emocje pierwszych przygotowań i przedwczesnych przypuszczeń. Kończą się i to, jak boleśnie, o świcie tej karnawałowej nocy, z ostatnim uderzeniem jazzu. Od tego to balu zaczynają się moje wspomnienia i na nim się kończą.



.. modliłem się, aby muzyka przestała grać.

Pamiętam jak dziś, kiedy z radosną miną ściskając biały kołnierzyk, spoglądałem na przygotowany frak. Cały dzień krzątałem się koło skompletowania „balowego urządzenia". Zawsze czegoś brakowało; a to rękawiczek do fraka, a to spinek do gorsu, a tam znów ktoś siadając przez nieuwagę pogniótł mi muszkę. Mimo tych kłopotów beztrosko i z utajoną radością wybierałem się na ten bal. Lecz jakżeż się zawiodłem. Portjer mnie zawiadomił (mieszkam w N. D. A.), że jakiś pan chce się ze mną widzieć. Zakląłem i poszedłem.

Przedstawił mi się: „Jestem z C. — studjuję i mieszkam przy rodzicach w Poznaniu. Wybieram się z siostrą, narzeczoną i jej matką na bal. Idę pierwszy raz. Nie znam nikogo. Możeby pan był łaskać wybrać się z nami."

— „Z przyjemnością, jestem łaskaw," odparłem, zgrzytając zębami. Nie lubię bagażu.

Umówiliśmy się na 9-tą. Miałem po nich pojechać.

Zły wracałem do domu. Na nieszczęście spotkałem dwie niewinne (napewno) panny, zakochane na śmierć w moim koledze.

— „Panie Tadku, nie mamy z kim iść na bal. Niech pan nas tylko zaprowadzi, a tam same damy sobie radę."

— „Z „miłym" uśmiechem z nieodzownem „bardzo proszę", wziąłem adres (drugi koniec Poznania) i umówiłem się, że będę u nich o godzinie wpół do jedenastej.

Byłem już całkiem nieszczęśliwy. Co robić? Czy zdążę?

Lecz nie był to koniec moich udręczeń. (o nierozwago!) wpadłem w ramiona kolegów: prezesa Koła Prawników i dyktatora kuchni Bratniej Pomocy, którzy nie dając mi dojść do słowa, przedstawili mnie jakimś dwom sympatycznym paniom słowami: „Oto ten młodzian zaopiekuje się paniami na balu."

Chciałem zemdleć. Znowu z tem samem szuraniem nogami, z taką samą „rozradowaną" miną zapewniłem je, że przyjdę po nie o 11.

Jak warjat pędziłem po dziewiątej na pierwszy punkt zborny. Stamtąd już we troje pojechaliśmy tramwajem, po brakującą narzeczoną i „mamusię".

Z trwogą śledziłem upływający czas. Nareszcie w Bazarze. Kupiłem 4 bilety studenckie (do „mamusi" też) i powierzyłem całe towarzystwo opiece jednego z nielicznych a ostatnich wytwornych panów. Sam spocony, jak tancerz na „sobótce" dopadłem tramwaju na Jeżyce. Spóźniłem się całe pół godziny. Rzecz prosta damy nie były jeszcze gotowe. To mnie dobiło. Straciłem humor. Z godzinnem opóźnieniem prowadziłem za ręce, stąpające niepewnie w nowych pantoflach me panie na ostatni punkt zborny.

W otwartej bramie (o cudzie!) już na nas czekano. Wciągnięto mnie siłą do jakiegoś mieszkania i przedstawiono starszej damie, jako opiekuna.

Zdołałem tylko wyjąkać, że ja tylko tak młodo wyglądam, ale w istocie jestem dużo starszy i jako opiekun, będę bez zarzutu.

Starsza dama z pobłażliwym uśmiechem odparła:

— „Mam nadzieję, że pan dobrze wywiąże się z roli opiekuna i córki mi zpowrotem odprowadzi." Chciałem ją zabić. Po drodze krzyczałem: „Gdzie pani idzie, nie widzi pani, że stoi słup. Skaranie z temi balami i dzisiejszemi pannami."

Powierzone mej pieczy panie poczęły patrzeć na mnie z obawą i kiwać znacząco głowami.

Przy wejściu w pasji przycisnąłem drzwiami sunący po ziemi tren sukni. Obyło się bez płaczu. Ale tego spojrzenia, to chyba do grobu nie zapomnę.

Dolatywały już echa skrzypiec. Łkały jakieś importowane wschodnie tanga. W drodze do kasy mijały nas rozbawione pary: wyfraczeni panowie i jeszcze więcej rozebrane panie. Kasa, garderoba, przesunęły się szybko, jak przydrożne drzewa, za oknami pędzącego pociągu.

Dostaliśmy się na salę. Oślepił mnie blask reflektorów, jaskrawość toalet, biel obnażonych ramion (pań). W zakłopotaniu obciągałem na sobie frak i rozpaczliwie szukałem wolnego stolika.

Pod kolumnami, z lewej od nas strony w otoczeniu ciotek, stryjów, pań i panów siedziała siostra mego kolegi, urocza panna Marysia.

Z szacunkiem skłoniłem się w pas. Orkiestra zagrała. Gdy podniosłem oczy, zdumiałem. Panna Marysia szła do mnie z wyciągniętemi rękoma, stąpając lekko poprzez wyciągniąte, żylaste nogi swych stryjów.



.. Od tej pory wyrzekłem się roli opiekuna.

Powitała mnie radosnym krzykiem: „Jak to dobrze, że pan mnie poprosił. Ja tak lubię to tango". „Świat zawirował przed memi oczami. Z trudem oddychałem. M o d l i ł e m s i ę, a b y m u z y k a p r z e s t a ł a g r a ć.

Partnerka bawiła mnie rozmową: „Jak pan spędza karnawał?"

— „Nic nie spędzam!"

— Odpowiedziały mi zalęknione, zdziwione oczy: „czy pan się dobrze bawi, że pan ma taki humor?"

— „Nie! — odparłem — tylko mam strasznego pecha. Odprowadzałem moją ciotkę z jej młodą służącą na dworzec i w zdenerwowaniu służącą wyściskałem, a ciotce wsunąłem w rękę złotówkę. Dobrze tylko, że z niej straszny „Harpagon", więc się nie obraziła."

— „Paradne", śmiała się moja partnerka, której przydeptywałem palce.

Gdy orkiestra urwała, jak na skrzydłach pobiegłem do porzuconych na środku sali mych pupilek. Stały niepewne, jak spłoszone stado kuropatw, rzucając trwożliwe, a zarazem groźne na mnie spojrzenia.

Znalazłem wreszcie wolny stolik i usiadłem z opiece mej powierzonemi pannami.

I tak w rozpaczy przesiedziałem całą noc. I od tej pory w y r z e k ł e m s i ę r o l i o p i e k u n a n a b a l a c h.

T a d e u s z P o r ę b a.

Adres Redakcji: Poznań, św. Marcin 40. Konto P. K. O. **201410.** Adres Administracji: Poznań, św. Marcin 40.

PRZEDPŁATA (wraz z przesyłką) rocznie **6** zł, półrocznie **3** zł.

CENY OGŁOSZEŃ: cała strona — 240 zł, 1/2 strony — 130 zł, 1/3 strony — 90 zł, 1/4 strony — 70 zł, 1/8 strony — 40 zł, 1/10 strony — 30 zł.

Rękopisy nieczytelne, bez podpisu i adresu autora nie będą uwzględniane. Przedstawiciel Redakcji w Warszawie: Jan Bajkowski. Rękopisów się nie zwraca.

Redaktor naczelny i wydawca: J a n W y g a n o w s k i, Poznań. Kierownik adm. i redaktor odpow.: S t a n i s ł a w S i e c i e c h o w i c z, Poznań.

Czcionkami Drukarni Katolickiej Sp. Akc. w Poznaniu, Raczyńskich 13/14.